Nr 182 Kraków, Niedziela dnia 9 Sierpnia 1896. Rok IV

Prenumerata w Krakowie:
rocznie zł. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
z odnoszeniem ct. 20
Na prowincji:
rocznie złr. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicą:
miesięcznie złr. 2·—

Numer zwykły 8 ct.
... 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Adres Redakcji: **Kraków, ulica Krupnicza l. 11.**

ZAŁOŻYCIEL: **JÓZEF ROGOSZ.**
Redaktor odpowiedzialny: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Adres Administracji: **Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.**

Pan minister Guttenberg.

Pan minister Guttenberg bawi u nas w Galicji, odbywając po raz pierwszy podróż inspekcyjną w zakresie galicyjskich dyrekcyj kolei państwowych. Jest on zatem dziś poniekąd gościem w naszym kraju; tradycja polskiej gościnności każe go przyjąć serdecznie i starać się o to, aby wyniósł jak najlepsze wspomnienia z krótkiego pomiędzy nami pobytu. Ze względu na to zamierzaliśmy pierwotnie omówienie żalów, uraz i pretensyj, jakie słusznie kraj nasz mieć może do pana ministra, odłożyć na chwilę późniejszą; skoro jednak jeden z lwowskich dzienników, pod wpływem łatwo dającego się pojąć rozgoryczenia, wystąpił z niemi już teraz, nie pozostaje nam nic innego, jak poprzeć jego spokojne zresztą i poważne wystąpienie, w przekonaniu, że gdzie idzie o wspólny, narodowy interes, tam nie powinno i nie może być różnic i uprzedzeń stronniczych.

To też nie wahamy się zacytować *Słowa polskiego*, które stwierdza, że „pana ministra Guttenberga poprzedza reputacja przychylności dla naszego kraju i dla Polaków, lecz poprzedza również ostatni akt nominacji urzędników ministerstwa kolejowego, gdzie nie ma ani jednego nazwiska polskiego, jak gdyby dla jednej z najważniejszych gałęzi administracji państwowej tylko Niemcy byli przydatni. Kraj zatem — konkluduje *Słowo polskie* — nie może witać pana ministra z pełną ufnością; do pogłosek o szczególnej życzliwości miesza się mimowoli obawa, że z nowym ministrem wszedł do Rady ministrów nowy żywioł germanizacyjny, który nawet w ministrach Polakach nie znajduje dostatecznej i skutecznej przeciwwagi“.

W istocie z chwilą utworzenia ministerstwa kolei żelaznych germanizacja państwowego ustroju kolejowego czyni zastraszające postępy. Nie możemy patrzeć na to z bezczynnym spokojem i przeciwdziałać temu musimy jak najenergiczniej na wszystkich polach i we wszystkich drogach, na których możemy coś uczynić. Jeżeli w interesie mocarstwowego stanowiska monarchji zrobiliśmy tę ciężką ofiarę, że zezwalamy na czysto niemiecki charakter armji, doszliśmy do ostatecznej granicy ustępstw na polu narodowem; armja jest chyba już dość potężnym i niezwyciężonym czynnikiem germanizacyjnym, którego wpływowi ulega z natury rzeczy najzdrowszy rdzeń ludności. Za koniecznością niemieckiego charakteru dróg żelaznych w państwie nie przemawia ani jeden argument słuszny; przywileje języków słowiańskich w niczem ani nie naruszą jednolitości ustroju, ani nie zachwieją ekonomicznym rozwojem kolei państwowych, których niemczenie jest tylko niepokojącym w najwyższym stopniu, ze względu na przyszłość, symptomatem.

Jest aż nadto powodów, aby dzwonić na alarm. Nie wszystkie z nich nadają się do publicznej dyskusji; niepodobna jednak nie rozważyć, że nie ma żadnych rękojmi, aby dzisiejszy stan rzeczy w Austrji potrwał bez żadnej zmiany, choćby tylko w dającej się przewidzieć przyszłości. Nasze narodowe i językowe prawa nie są dostatecznie ubezpieczone zasadniczemi ustawami państwa; w znacznej części zawdzięczamy je tylko łasce i rozumowi panującego monarchy. W każdej chwili możemy je nieszczęśliwie stracić, tak jakeśmy je szczęśliwie zyskali. Zamiast wyzyskać korzystną dla nas epokę, zamiast postarać się o trwałe fundamenty dla tego gmachu narodowych praw i przywilejów, z którego się tak cieszymy, zasypiamy w *dolce far niente*, odurzamy się godnościami, zaszczytami, wpływem, którego, niestety, za mało na własną korzyść używamy, zaufaniem i sympatją sfer najwyższych, a zapominamy, że jeden nieszczęśliwy dzień, jedna nieszczęśliwa chwila może rozwiać nietylko te bańki mydlane, ale i rozbić cały gmach, o którego ubezpieczeniu zapomnieliśmy.

Pan minister Guttenberg jest stale urlopowanym jenerałem i odznaczył się jako kierownik wojskowego departamentu kolejowego; stąd też w kołach parlamentarnych odrazu powstała obawa zbytecznej przewagi wpływów wojskowych na administrację dróg żelaznych. Pan minister zastrzegał się wszakże przeciw wszelkim tego rodzaju obawom jak najenergiczniej, przyrzekając zwalczać wszelkie zbyt daleko posuwające się pretensje wojskowości i rozwijać jedynie fachową działalność w interesie dobra instytucji i ogólnych interesów państwa. Więc też nie bez pewnego zdumienia, powiedzmy nawet przykrego zdumienia, widzimy obecnie pana ministra na inspekcyjnych podróżach we wspaniałym jeneralskim mundurze; mamy pełen szacunek dla tego stroju, rozumiemy doskonale przywiązanie dawnego wojskowego do ubrania, w którym znaczną część życia służył krajowi i monarsze, nikt nawet zaprzeczać nie może panu ministrowi prawa do przywdziewania tego munduru kiedy mu się tylko podoba. A jednak nie mogło to nie urazić zarówno sfer urzędniczych, jak i szerokich kół ludności, że pan minister podczas podróży inspekcyjnych akcentuje tak silnie swoją nierozerwalną łączność z armją, tak jakby kierownikiem ustroju kolejowego monarchji i odpowiedzialnym doradcą korony został nie dla swoich wybitnych fachowych kwalifikacyj, ale jakby właśnie z tytułu rangi jeneralskiej odkomenderowany był tylko przez władze wojskowe dla zawiadywania z ramienia armji siecią państwowych dróg żelaznych.

Dotknęło nas to tembardziej, że na odłączeniu armji od dróg żelaznych zależy nam nietylko ze względów na normalny ekonomiczny rozwój instytucji, lecz wprost ze względów narodowych ponieważ nie wątpimy ani chwili, że z chwilą w którejby zarząd kolei państwowych dostał się w ręce armji, cała ta niezmiernie ważna gałęź służby państwowej byłaby raz na zawsze dla narodowości nie niemieckich w monarchji bezpowrotnie stracona.

Żydzi a my.

III.

Gdybyśmy wszystkie zresztą równe z żydami mieli warunki bytu, to jednak oni przez swą oszczędność i poprzestawanie na małem musieliby wziąć górę nad nami. Żyda marnotrawcę, pijaka rzadko zdybać można; od takiego współwyznawcy odwracają się z pogardą i prawie za człowieka go nie uważają. Podziwienia godnem jest zaparcie się, z jakiem żyd znosi nędzę, pomimo, że bardzo, według jego pojęć, pracuje. Zdumiewać się trzeba, jak mało żyd biedny potrzebuje na życie, mimo tego, że liczną obarczony jest rodziną. Każdy zaś grosz, który odłożyć może po opędzeniu codziennych wydatków, to u niego fundusz święty, nietykalny, chyba na zyskowne przedsiębiorstwo, uczciwe czy nieuczciwe, byle dochód niosły.

Powszechne u żydów w naszym kraju są wypadki, że taki semita żonaty i dzietny, nic nie umiejąc i nic prawie nie robiąc pożytecznego, żyje z dochodów od kapitału, wynoszącego niekiedy nie więcej, niż 200 złr., a nawet i mniej i nie tylko, że nie robi długów, ale jeszcze majątek swój przymnaża. Wiele tu znaczy ten praktyczny zwyczaj, że młode małżeństwo żydowskie spędza pierwsze lata pożycia na utrzymaniu u rodziców nowożeńców i wtedy nic nie wydając, składa grosz do grosza i uczy się na swój sposób „pracować“. Dopiero po kilku latach, z pewnym zasobem w ręku, puszczają się powoli młodzi małżonkowie pod doświadczonem okiem rodziców, na szerokie wody spekulacji. Tak zaczynając z zapasem grosza, a ostrożnie, nie licząc się z niczem, chyba tylko z szansą zysków i kodeksem karnym, operują prawie zawsze szczęśliwie, a gdy się któremu noga potknie, znajdzie pomoc u swoich, którzy przez poczucie łączności zginąć mu nie dadzą. Prawda, że żydzi, a zwłaszcza ich kobiety, stroją się, że brudną zwykle bieliznę przykrywają atłasami i aksamitami, w których ich niechlujstwo, prostactwo i niezgrabność jeszcze więcej odrażają, ale oni to czynią już wtedy, gdy bez uszczerbku dla majątku swego na jedwabie pozwolić sobie mogą.

A u nas jak wyglądają cnoty oszczędności i poprzestawania na małem? Aby je przedstawić, należałoby rozpisać się szeroko i prawić kazania tomowych rozmiarów, które już tysiące razy z różnych miejsc prawiono. Gdy u żydów tylko wyjątkowo zdarzy się spotkać nieoszczędnego, u nas wyjątkowo oszczędnego zobaczyć można, a taki też tylko zawsze prawie stoi na własnych nogach i pomocy żydowskiej nie potrzebuje. Gdy żyd, postępując ostrożnie, zadawala się w interesie małym zyskiem, bo oszczędzając na wszystkiem wytrwałością, grosz do grosza zbiera i do majątku przecież dojdzie; katolik, zwłaszcza u nas, przeważnie do przemysłu i przedsiębiorstw pociągu nie ma, bo się leni, za to dobrze żyć lubi, a jeżeli do czego się weźmie rzuca się często w interes bez obliczenia szans i warunków, chce od razu majątek zdobyć, nie liczy się z konkurencją i z potrzebami odbiorców, podaje wysokie ceny, niekiedy z tą do publiczności chrześcijańskiej wyraźną pretensją, że ona jest na to, aby go, bez względu na wygórowane żądania, wspierała dlatego, że on chrześcijanin. Zresztą jemu na utrzymanie to, co żydowi nie wystarcza. Skoro więc nie idzie mu interes jak po maśle, zwija go i rzuca się do czego innego, gdzie go przy takiem traktowaniu rzeczy znów taki sam los zwykle spotyka, a nawet bywa, że kwitnący interes sprzedaje i to zwykle żydowi, dlatego, że mu samemu się robić nie chce.

Wobec tego, że żydzi zajęli lub zająć pragną przed nami wszystkie pola społeczne i przez to na nasz koszt się podnoszą, naszem zadaniem jest, abyśmy w drodze legalnej usuwali ich z tych pól a więc wypada, abyśmy od nich odkupywali przedsiębiorstwa, sklepy i t. d. Jeżeli więc my miasto tego, naszych zdobytych walką z nimi terenów na ich rzecz się pozbywamy, wiedząc że tem do przewagi żydów się przyczyniamy, jesteśmy zbrodniarzami wobec własnego społeczeństwa.

Dziwi nas nieraz, dlaczego włościanin a nawet małomieszczanin żydowi więcej ufa niż surdutowemu katolikowi; dlaczego mu np. i produkta swoje na targu chętniej sprzeda i z furmanką taniej pojedzie. Jest to dziwne, nawet potworne a przecież niestety prawdziwe.

Przedewszystkiem za pewnik przyjąć trzeba, że włościanin, jako człowiek praktyczny, dla idei a nawet dla korzyści, która bezpośrednią i namacalną nie jest, nic nie robi a jego sympatje i dążności polegają wyłącznie na pobudkach ściśle egoistycznych i po za swoim pożytkiem nic nie widzi i nie uznaje. Żyd zna go lepiej niż my, którzy się nieraz na temat uidealniania ludu mrzonkami uwodzimy. Żyd sprawę przedstawi chłopu prawie zawsze tak, jak ją chłop mieć chce; przybiera, podchlebi ambicji, wygodzi w stósownej chwili, wyzyskując chwilę i słabą stronę, jednem słowem umie ten lud pieścić i wtedy tylko dla niego brutalny, kiedy już nic z niego wyciągnąć nie może. Przytem rozumiejąc, że w interesach dotrzymanie słowa i dyskrecja są czynnikami moralnemi wielkiej wartości, żyd przeciętny jest punktualny a dyskretnym jest każdy, chyba, że tajemnicę drożej może sprzedać niż na niej zarobić, bo wszystko na gotówkę oblicza. Katolicy „surdutowi“ zaufania włościanina nie mają, bo nie mając zamiarów wyzyskania, w sprawach żydów z włościanami górującego, z nimi wogóle nie obchodzą się tak, aby jak żydzi pozorami życzliwości ufność wzbudzić mogli. Dotrzymać słowa w interesach umieją dziś u nas między niesemitami wszelkich stanów tylko wyjątki, co żydom, wobec ustaw wierzyciela zawsze broniących, bardzo na rękę, a dyskrecji u nas także darmo szukać, to też pewniej jest zawierzyć temu, kto rozumie, że *Schweigen ist Gold.*

Nie należy też lekceważyć i tego, że u żydów z powodu łatwości zawierania i rozwiązywania związków małżeńskich i małych potrzeb, przyrost ludności znacznie jest większym niż u katolików.

Przy tem wszystkiem, gdyby przynajmniej samo społeczeństwo nasze postępowanie żyda tą samą co i katolika mierzyło miarką miałoby jakąś podstawę do porównania uczciwości jednego i drugiego, ale nawet tutaj, pod względem opinji u ogółu, zwłaszcza w handlu, inną miarę do żyda się przykłada. Kiedy katolik dopuści się czynu niehonorowego, wszyscy go potępiają i w przyszłości długo mu to pamiętają; żyd natomiast może oszu-

kać, zrobić fałszywą krydę i t. d., ale się mu to łatwo przebacza „bo on od tego żyd“ i dalej jak przedtem obdarza się go zaufaniem.

Wrażenia z zaboru pruskiego.

I.

Poznań d. 7 sierpnia.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

(*gs.*) Przez Wrocław niemiecki do Poznania polskiego. Właściwie nie trzebaby dodawać przy Poznaniu, iż jest „polskim“, gdyż to głowa i serce Wielkopolski, prastare nasze gniazdo. A przecież! Wszak i Wrocław był stolicą Bolesława Chrobrego, a dziś tymczasem jest miastem niemieckiem, gdzie tylko sporadycznie można słyszeć gwarę polską, lub też widzieć napis polski. Miasto wspaniałe i wielkie w całem słowa znaczeniu. Obecnie mało brakuje Wrocławowi do pół miljona ludności. Ruch ogromny. Koleje konne i elektryczne w rozmaitych kierunkach i ulice szerokie, proste, z wybornemi chodnikami. Główniejsze asfaltowane lub też wyłożone drewnianemi kostkami, a zabudowane dużemi kamienicami z wyglądem pałaców a urozmaicone architekturą. Nazwiska polskie napotyka się na szyldach dość często. Właśnie będąc w Oławskiej ulicy (Oklauerstrasse) czytam nad piękną wystawą cygar polskie nazwisko: W. Komierzycki. Trzeba u Polaka zrobić zakupno, wchodzę więc do sklepu z polskiem powitaniem. Na to słyszę:

— *Entschuldigen... mein Vater hat noch ganz gut polnisch gesprochen, aber ich bin lange Jahre in Leipzig gewesen.* (Daruje pan, mój ojciec mówił jeszcze dobrze po polsku, lecz ja bawiłem przez długie lata w Lipsku).

Takich wypadków zdarzyło mi się kilka we Wrocławiu w ciągu dnia jednego. Mimo to, słychać język polski na ulicy, a są także i polskie sklepy. P. Jasiński (skład cygar) na Teschnergasse, naprzeciw dworca centralnego, jest Polakiem, nie tylko z nazwiska, mówi wybornie po polsku i rad jest Polakom, którym też chętnie służy informacjami. Ludność polska we Wrocławiu jest nawet stosunkowo wcale liczną. Będzie jej przeszło 30.000. Istnieją tu polskie stowarzyszenia, jako to: Towarzystwo młodych i starszych przemysłowców, Sokół polski, polska czytelnia i „Lutnia“, Towarzystwo śpiewackie. Gdyby Wrocław, dawna stolica Chrobrego, był pozostał polskim, byłby obecnie wprawdzie nie największem, lecz najpiękniejszem miastem polskiem. Dziś szczycą się nim Niemcy. Jedźmy więc ztąd prędzej do polskiego Poznania!

Jestem na ziemi Wielkopolskiej. Gwizd sapiącego dotąd parowozu oznajmia stację. „Szafner“ (konduktor) woła: Rawicz. W wagonie jednak wszyscy mówią po niemiecku, przed pociągiem słychać także tylko język niemiecki, w restauracji kolejowej tak samo. Cóż u licha!... tu więcej niemczyzny, aniżeli we Wrocławiu nawet, gdzie przecież słyszałem kilka razy rodzinną mowę. Do mego coupé pakuje się w Rawiczu jakiś jegomość podsadkowaty a nadzwyczaj ruchliwy z żoną, trojgiem dziatek i służącą. Mówi po niemiecku czystym akcentem pruskim z żoną, z konduktorem i z synkiem, chłopakiem około lat dziesięciu. Dopiero kiedy pociąg był w pełnym biegu a dziecko siedzące przy służącej zaczęło płakać ofuknął się ów jegomość, wołając gniewnie po polsku:

— Nie gap się, Maryś, przez okno, lecz uważaj na Władka!

Potem do żony znowu po niemiecku, lecz kiedy wpadł w ciągu mowy w ferwor zastępował niemczyznę polszczyzną, równie dobrą i czystą, jak była jego niemczyzna. Byłbym przysiągł przed chwilą, że to jak mówię zapieczony Niemiec, tymczasem widzę, iż to Polak, gdyż Niemiec nie mógłby tak dobrze mówić po polsku i zawsze byłoby znać obcy akcent. Był też rzeczywiście rdzennym Polakiem, co mi sam wyznał, kiedy z nim rozpocząłem rozmowę.

— Widzi Pan — mówił — my tu mówimy obydwoma językami. Na publicznych miejscach nie można wiedzieć, czy się ma Niemca lub Polaka przed sobą, a że wszyscy u nas mówią po niemiecku, więc mówimy po niemiecku...

— Ależ Pan — wtrąciłem — rozmawia także z panią swoją po niemiecku.

— Raz po polsku, to znowu po niemiecku... z przyzwyczajenia.

Po chwili dodał:

— Ale dzieci uczę języka ojczystego. Stasiu! — odezwał się do samego chłopaka — *Sag' mal dem Herrn, wie hat der letzte polnische König geheissen?*

Dziecko powstało z ławki i zażenowane wyjąknęło:

— Sta... nisław August Po... nia... towski.

— *Sehr gut!...* a potem po polsku: „A kto zaprzedał Polskę?

— Targo... wi... cza... nie.

— *Ausgezeichnet!...* Tego w naszych szkołach nie uczą, to ja sam uczę.

Dowiedziałem się, że mój towarzysz był kupcem w Lissa (Lesznie), które podobnie jak Rawicz jest dziś bardzo zniemczone.

Stacje kolejowe mają same niemieckie nazwy, tu i owdzie pozostała tylko stara polska nazwa jak: Rawicz, Bujanowo, Mogilno. Natomiast Kołodziejowo przechrzczone na „Altraden“, Jeziorko na „Amsee“. Jest także Weissenburg, Widau, Arzenau i t. p., których podróżnikowi niepodobna nawet nazwać po polsku, jeżli nie ma przy sobie podręcznika, gdyż, niestety, polska ludność podróżująca najczęściej używa poniemczonych nazw. Smutny to zaiste objaw, jak wogóle chętnie Polacy mówią po niemiecku. Jakżeż inaczej jest pod tym względem u Czechów, ale też Czesi inne robią postępy w zdobyczach narodowych, idąc nie wstecz, lecz naprzód.

— *Posen!* — woła „szafner“. — Na dworcu także prawie wszystko po niemiecku. W kolei konnej, wiozącej mnie z dworca do miasta, to samo. W Hotelu berlińskim wita mnie portjer równie po niemiecku. Zniechęcony tą niemczyzną, wołam z gniewem:

— Cóż u licha, czy po polsku tu nie umiecie już mówić?

Na to portjer uśmiechnąwszy się, odparł:

— I owszem, wszyscy tu mówimy po polsku, nasz hotel jest polski, ale... ale... jak obcy przybywa, nie można wiedzieć czy nie Niemiec...

Znowu to samo, co mi powiedział ów kupiec z Lissy w coupé kolejowem.

— Więc cóż z tego — odparłem — nieszczęścia w tem nie byłoby żadnego, gdybyś pan zagadał do Niemca po polsku.

— To prawda, ale zawsze...

Stary Poznań, w górnej części, wygląda całkiem nowożytnie i elegancko. Ma także wygląd większego miasta; piękne, ożywione ulice, okazałe wystawy sklepowe i ruch wcale niepośledni, chociaż w żadnym kierunku co do wielkomiejskości równać go nie można z Wrocławiem. Jest to zresztą rzecz naturalna. Poznań bowiem posiada zaledwie piątą część ludności Wrocławia. Rynek ze starym ratuszem, a właściwie cała dzielnica wkoło ratusza na dole ma bardzo starożytny wygląd. Znać tu dziejowość, drzemiącą starzynę zczerniałych murów kościelnych i kamienic. Nadzwyczaj starożytnie wygląda „Tum“, z rezydencją prymasa i całe jego otoczenie. Tu, za Wartą, stał też stary Poznań. Górna część miasta stanowi wielki kontrast z dolną, ale stara, dolna część, z Chwaliszewem, jest o wiele więcej polską, aniżeli górna. Ta część też jest siedzibą przeważnie ludu, a lud mniej jest skrupulatnym, mniej uważającym na to, czy ten lub ów nie jest przypadkiem Niemcem, więc mówi wciąż po polsku. W górnej części miasta przeważa na ulicach i w publicznych lokalach, niestety, język niemiecki, chociaż nie sądzę, żeby i tu Niemcy tworzyli większość ludności. Od Czechów moglibyśmy się zaiste dużo nauczyć co do używania języka niemieckiego, a wówczas Poznań byłby, pomimo całego naporu zjednoczonej Germanji, z pewnością polskim nawskróś i na nikim nie czyniłby bolesnego wrażenia nawpół zniemczonego grodu.

Z KRAJU.

Stanisławów 3 sierpnia.

Osławionym z niechlujstwa i brudu Brodom przybył niebezpieczny konkurent. Stanisławów. Wszem i każdemu z osobna wiadomo, że po ostatnich wyborach do Rady gminnej, dzięki apatji i służalstwu stanisławowskich chrześcijan — zwyciężyli żydzi. Na prezydjalnym stołku zasiadł również, ku wiecznej sromocie obywateli m. Stanisławowa, nieodrodny syn potomków biblijnego Chama. Zaczęły się rządy żydowskie, a jaki ich rezultat świadczy wymownie artykuł p. t. „Spostrzeżenia z krótkiego pobytu w Stanisławowie“, zamieszczony w ostatnim numerze *Wolnego Głosu Stanisławowskiego*. Aby nas kto o stronniczość nie posądził, przytaczamy niektóre charakterystyczniejsze ustępy in extenso. I tak na wstępie czytamy: „Interesy, nie cierpiące zwłoki, zmusiły mnie po raz pierwszy zaglądnąć do Stanisławowa, o którem to mieście i jego szybkim rozwoju dużo się już naczytałem i nasłuchałem, ciekawość przeto mnie o panowująca była zupełnie usprawiedliwioną. Wysiadłszy z wagonu po południu, wpadłem od razu na peronie w ścisk i zgiełk nie do opisania, przyczem zmysł powonienia równie cierpiał jak i słuch, o który jakaś wschodnioy niby pochodzenia mowa, do złudzenia charkot gryzących się psów naśladująca, przeważnie się odbijała. Na dworcu ukazała się poważna liczba, przypuszczam, fjakrów, ale raczej lazaronów w łachmany ubranych, wzbudzających obawę, że po drodze do miasta, ze swych dziurawych i obtłoconych wehikułów gościa zgubić muszą. Z wahaniem przeto zająłem miejsce w tym instrumencie spedycyjnym i kazałem się wieźć do lepszego hotelu. Po kwadransie jazdy, podczas której miałem usta pełne błota wskutek niesłychanego pyłu, zawieziony zostałem do miasta i patrząc przed siebie ujrzałem nad drzwiami dosyć jeszcze oddalonego domu, napis „Hote central-ny“. Nie obiecywał ten przytułek przejezdnych wiele, sądząc po jego mniej niż skromnej powierzchowności, ale za to w oknie, na oścież otwartem, na pierwszem piętrze, można było podziwiać jakiegoś jegomości rozpartego i do połowy ciała wychylonego... literalnie nawet bez koniecznego płóciennego ubrania, o krawatce już nie mówiąc. Ponieważ żadnego stróża bezpieczeństwa nigdzie na ulicy na lekarstwo nie widziałem, któryby się ujął przynajmniej za obrażonem uczuciem przyzwoitości dam przechodzących, musiałem przypuścić, że Stanisławowianie chyba od Kafrów pochodzą i ich afrykańskie tradycje i pojęcia o stroju wiernie pielęgnują! Ale widocznie co kraj, to obyczaj! Stanąłem zatem w hotelu tym afrykańskim, gdzie mnie, nawiasem mówiąc, tak obłuskano, jak gdybym miał kostjum owego poprzód wspomnianego jegomości lub tureckiego świętego naśladować.“

Dalej opowiada korespondent *Wolnego Głosu Stanisławowskiego*, że był w łazienkach, za które zdarto go niemiłosiernie, dając w zamian do użytku „norę 5 kroków wzdłuż, a 4 wszersz posiadającą wewnątrz dwie biało lakierowane, staroświeckie niewygodne i ordynarne wanny“. Podłoga i okna lepiły się od brudu — powietrze nie do opisania!

„Oburzony wyzyskiem na każdym kroku — pisze dalej turysta — poszedłem do pewnego gastronomicznego zakładu na objad, tusząc sobie, że choćby za słoną cenę ale czysto i smacznie się posilę. Próżne nadzieje! W lokalu nieznającym wody i szczotki, dostałem rosół na talerzu lepiącym się od brudu, a gdy zgniewany czynię uwagę i zwracam się do właściciela, to słyszę półgłośno czynioną uwagę przez kelnera, że grymaszę! Niechby tak nie już w Niemczech lub Francji, ale w zachodniej Galicji poważył się restaurator podać gościowi potrawę na niemytym talerzu, toby prócz należytego skarcenia literalnie nikt więcej do niego nie zajrzał, tutaj godna potępienia tolerancja wyradza się w... — ale dajmy pokój temu. Podobno głowa miasta często ten przybytek gastronomiczny odwiedza. Z restauracji podążyłem na czarną kawę do kawiarni, której właściciel jak złe języki głoszą, zajmował się dawniej szlachetnym kultem świątyni Afrodyty. Potulny ludek Stanisławowa wraz ze synami Marsa daje się tam strzydz należycie, dostając za swą wełnę czystą w dusznym niemytym lokalu napoje bardzo liche, stare nędzne bilardy i leniwą obsługę. Jak najprędzej opuszczałem Stanisławów z bardzo niemiłem wrażeniem, nie zarzucając winy złego nikomu, ale konstatując tylko fakty.

Czy one nie prawdziwe, osądźcie sami Stanisławowianie, a obudźcie się z apatji *dolce far niente* i weźcie się do robienia u siebie w domu porządku, aby owa zmora „komisarz rządowy“ was nie poczęła dusić“.

Temi słowy kończy swe „wrażenia“ korespondent *Woln. Gł. Stanisław.* — i ma rację, trzeba, koniecznie trzeba zbudzić się z apatji i wziąć się do robienia „porządku“ — pierwszym zaś krokiem winna być zmiana opiekunów i *obero*piekuna miasta. Gdzie żyd — tam brud i niechlujstwo — o tej prawdzie zapominać nie trzeba.

Sanok 7 sierpnia.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Duchowieństwo łac. dekanatu sanockiego d. 14 lipca b. r. zgromadzone w Niebieszczanach powzięło jednomyślną uchwałę na opróżnione krzesło poselskie z kurji włościańskiej powiatu sanockiego przedstawić ks. Antoniego Koleńskiego rzym. kat. proboszcza i dziekana w Rymanowie. Na mocy powyższej uchwały przesłano Komitetowi centralnemu następującą odezwę:

„Fakt, że przy ostatnich wyborach sejmowych w r. 1895 ani jeden kapłan obrz. łac. nie zajął krzesła poselskiego, a jeszcze bardziej, że w całym kraju i z żadnej strony takiej kandydatury nie postawiono, wywołał słuszne niezadowolenie duchowieństwa, jako też szerokiego Koła rozumnych; dobrze myślących obywateli. Wypadek to znamienny! a że niezawodnie nie przypadkowy i ani zgodny z naszą tradycją narodową ani też stosunkami obecnej doby usprawiedliwiony, przeto godny szczerego ubolewania. Naprawić ten błąd, uchylić czemprędzej możliwe konsekwencje, to niezawodnie żądanie i obowiązek mężów, którzy krajowi szczerze spokojnego i prawidłowego życzą rozwoju. W przekonaniu, że trafiamy w myśl gorących intencji Komitetu, oraz szerokiego Koła wszystkich warstw społecznych, korzystamy z pierwszej sposobności i na opróżnione krzesło poselskie z kurji włościańskiej powiatu sanockiego ośmielamy się przedstawić ks. Antoniego Koleńskiego rzym. kat. proboszcza i dziekana w Rymanowie. Spełniając jak najchętniej wezwanie Przewielebnego duchowieństwa, którego jednomyślną uchwałę z d. 14 b. m. załączam, mam zaszczyt kandydaturę ks. Koleńskiego, jak najgoręcej zalecić i o wszechstronne poparcie upraszać tembardziej, że uznane cnoty kapłańskie, sumienne i zawsze duchem obywatelskim ożywiona praca, Jego skuteczna na różnych stanowiskach działalność, zaufanie ludu i oby-

watelstwa, które uczciwą pracę, prawy charakter, inicjatywę ducha i energję woli zawsze oceniać umie i chce — są niezawodną rękojmią, że pracy sejmowej przybyłby czynnik bardzo cenny i najlepszej woli.

Na mężów zaufania pozwalamy sobie wskazać: 1) hr. Jana Potockiego z Rymanowa, 2) p. Kazimierza Wiktora z Zarszyna, 3) Władysława Morawskiego z Odrzechowy, 4) Stanisława Ostaszewskiego z Klimkówki, 5) ks. Koleńskiego z Rymanowa, 6) ks. Garbaczewskiego z Jaślisk. Z wysokim szacunkiem

ks. Stasicki, dziekan sanocki".

Duchowieństwo dekanatu rymanowskiego, przyłączając się do uchwały dekanatu sanockiego i do treści powyższej odezwy pod d. 26 lipca b. r., przesłało komitetowi centralnemu pismo następującej treści:

„Smutne doświadczenia pouczyły ile rozgoryczenia i złego powodują owe sztuczne, a w wysokim stopniu niemoralne walki wyborcze. Taką walkę pragniemy uchylić, a co więcej przestrzedz przed bratobójczemi zapasami. Oświadczamy jednak z całą siłą przekonania, że stojąc na gruncie zbiorowego listu Episkopatu z r. 1895 kandydatów niedosyć wypróbowanego życia katolickiego, których ani stopień wykształcenia, ani zasługi, ani osobiste przymioty, ani zaufanie wyborców na godność poselską nie zalecają, w imię dobra publicznego zwalczać będziemy z równą stanowczością jak owe niegodne i niemoralne środki agitacyjne i tyle wstrętne faktorstwa żydowskie. W przekonaniu, że świetny komitet to nasze szczere, równie jak stanowcze oświadczenie ocenić raczy tym umysłem obywatelskim, jakim je czynimy, a naszemu słusznemu, uzasadnionemu, a przytem patrjotycznemu życzeniu skutecznego użyczyć raczy poparcia, kreślimy się z najgłębszym szacunkiem imieniem duchowieństwa dekanatu rymanowskiego.

Ks. Garbaczewski, senjor dekanatu.

O treści obydwu odezw, powiadomiono równocześnie p. Feliksa Gniewosza, jako marszałka powiatowego i przewodniczącego powiatowego komitetu wyborczego".

ZE ŚWIATA.

Wiedeń d. 7 sierpnia.

(List oryginalny Głosu Narodu)

Królewska para rumuńska przybyła wczoraj do Wiednia. Na dworcu oczekiwał jej przybycia poseł Mavrogheni i członkowie legacji rumuńskiej. Z tutejszych osób urzędowych nikt nie był obecnym, gdyż król Karol podróżuje w ścisłem incognito. W hotelu Imperial były już przygotowane pokoje. O godzinie 3 obydwoje królestwo wyszli na spacer i wrócili o godzinie 6. W mieście wstępowali do sklepów i robili liczne zakupy. Objad podano o godzinie 7 wieczorem, na który z obcych był zaproszony tylko minister spraw zewnętrznych, hr. Gołuchowski, wraz ze swoją małżonką. Dostojni goście dziś odjechali do Zelle am See, a stamtąd udadzą się na dłuższy pobyt do zakładu kąpielowego w Ragaz.

W Matzleinsdorf zmarła pani St., która przez dłuższy czas zadziwiała Wiedeńczyków swoją ekscentrycznością. Rozwiódłszy się z mężem. przybyła do stolicy nad modrym Dunajem i zakupiła piękną willę w 13 okręgu. Ulubionymi jej faworytami były: konie, psy, małpy i papugi. Dla pierwszych kazała zamiast stajni wybudować wspaniałe salony z posadzkami i lustrami. W nich przyjmowała interesantów i załatwiała wszelkie sprawy. Żyła zupełnie inaczej, niż inni ludzie. Noc zaczynała się u niej o godzinie 7 rano, a dzień o godzinie 7 wieczorem w zimie, a o 9 w lecie. O godzinie 10 wieczorem podawano śniadanie. Poczem wyjeżdżała konno na spacer, w towarzystwie masztalerza i dwóch służących. Cała ta kawalkada, mknęła przez pola, łąki i lasy, jak duchy z balady Bürgera. Okoliczni mieszkańcy nazywali ją „trupią hrabiną" i gdy ją spotkali żegnali się krzyżem św. i usuwali z drogi. O godzinie 4 rano podawano objad, do którego zasiadała cała służba męska i żeńska. Poczem wszyscy szli spać. Dżokeje, lokaje, kucharz i pokojówki zmieniali się co 4 tygodnie gdyż nikt dłużej nie mógł wytrzymać. Każdy na odchodnem dostawał po 400 złr. gratyfikacji dla tego znajdowała zawsze chętnych amatorów. Pieniądze wydawała bez rachunku, gdyż, jak utrzymywała, nie chce zostawić rodzinie ani jednego centa. Ubrana zawsze czarno, sztywna i chuda, robiła rzeczywiście wrażenie skieletu. W testamencie swemu ulubionemu koniowi zostawiła 20.000 złr. Procent od tego kapitału ma służyć na opędzenie kosztów utrzymania rumaka. Przed dwoma laty opuściła Wiedeń i przeniosła się do Matzleinsdorf. Utrzymywała bowiem, że klimat stołeczny wcale nie służy jej przyjaciołom czworonogim. Za trumną szła tylko służba i prowadzono kilka koni i dwie małpy. Naturalnie nie wpuszczono ich na cmentarz i ekscentryczną kobietę odprowadziło do grobu tylko kilku żałobników. O pani St. można wybornie powiedzieć: „jakie życie, taka śmierć".

Prawdopodobnie trafiono na ślad sprawcy zamachu dynamitowego w szlusarni Bascha, na Leopoldstadzie. Donosiłem w poprzedniej korespondencji, że przyaresztowano pewnego mechanika, którego policja silnie podejrzywała o ten czyn zbrodniczy. Nazywa się on Jan Fock i liczy lat 34. Mieszka w tym samym domu, co Basch i oddawna żył z nim na stopie nieprzyjaznej. Świadkowie mówią, że często się nawet odgrażał. Zaraz po zamachu wzięto go do śledztwa, lecz w kilka godzin został puszczony na wolność. Powodem aresztowania był taki sam sznur znaleziony w jego mieszkaniu, w jaki obwiniętą była skrzynka z bombą. Potrafił się jednak wytłómaczyć i udowodnić swoją niewinność. Przytrzymano go po raz drugi, lecz i tym razem udało mu się wywinąć. Wczoraj w nocy wzięto go znowu z mieszkania i po dłuższem przesłuchaniu, osadzono go w areszcie. Widocznie policja musiała zebrać więcej poszlak. Dziś od samego rana ciągną z niego protokół. W chwili wysłania listu na pocztę, jeszcze nie jest wiadomem, czy będzie odstawiony do sądu karnego, lub też nie. W każdym razie sprawa bardzo zawiła i jeżeli się uda policji wykryć zbrodniarza, to każdy uczciwy człowiek musi przyznać, że się dobrze zasłużyła społeczeństwu.

Fock jest wdowcem i ojcem dwojga dzieci nieletnich. Podejrzywano go zawsze o skrajne przekonania i w gronie swoich kolegów nie był wcale lubiany.

Swój.

Echa kąpielowe.

Szczawnica 5 sierpnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

W dalszym toku sprawozdań z życia towarzyskiego tutejszej kolonji, już z góry zaznaczyć mi wypada, że będąc od wielu lat stałym gościem uroczej Szczawnicy, z subtelną dokładnością badam z jednej strony jej rozwój, a z drugiej coroczny nastrój życia, bodaj nawet nastrój humorów jej gości. O ile jednak postęp zakładu pod względem urządzeń balneoterapeutycznych, mieszkań, parków, dróg i deptaków, prawie nic nie pozostawia do życzenia, bo taką na każdym kroku widać staranność zarządu i ujmującą troskliwść, że za wzór innym zdrojowiskom służyć może, to znowu pod względem życia towarzyskiego obecny sezon objawia pewną ospałość i brak spójności towarzyskiej. Nie brak wcale usiłowań ze strony Zarządu zakładowego w ułatwianiu gościom rozrywek; wycieczki w dolinę Pienińską, do Czerwonego Klasztoru i w inne miejscowości przepięknej okolicy idą zwykłym trybem, ale w małych towarzystwach, nie widać ani łączenia się w większe grupy, jak to zwykle dotąd bywało, ani nie widać objawów tego naturalnego ożywienia, jakie porywa ludzi strudzonych pracą zawodową, lub dotkniętych cierpieniem, którzy pod ożywczem tchnieniem przyrody doznając niezaprzeczenie ulgi, zwykle to dobrym humorem i ochoczością do zabaw objawiać zwykli.

Skutki ciężkiej walki o byt dają się spostrzegać na każdem obliczu; po rolniku-obywatelu na pierwszy rzut oka poznasz, że opuścił progi domowe jedynie z konieczności poratowania zdrowia swego, lub drogiej sercu osoby, ale ten wyjazd jest wysiłkiem materjalnym, bo zboże bez ceny, bo robotnik drogi a nazbyt wysokie ciężary publiczne zapędziły go w kłopoty finansowe, skutkiem których nie zapisał wprawdzie djabłu swej duszy, aby się z nich wyratować, bo te czarne duchy już dziś na taką hipotekę nie reflektują, ale za to, co gorsza ich o wielekroć mniej litościwym, a więcej bezwzględnym zastępcom rasy semickiej, kryjącym w nieschludnej zwykle opończy całe foljały skryptów i weksli, tych szatańskich cyrografów nękanego szlachcica. Dla tego też nie dla szlachcica są zabawy i „miły ptasząt śpiew", bo troska w sercu, bo zbiory niepewne, a niedobór finansowy i za niem w ślad idące skutki nieuniknione.

Gdzieniegdzie znowu przesuwają się postacie o wyrazistych twarzach, na których daie się odczytać wytrwała walka o byt niemal od kolebki, to przemysłowcy, którzy ciężką pracą dorobiwszy się egzystencji, dziś znajdują się na rozdrożu. Nie dość, że wskutek upadku obywatelstwa, wskrzeszony przez nich przemysł nie ma odbiorców, nie dość, że wskutek braku ochrony państwowej, licha zagraniczna konkurencja ich pobija, ale jeszcze nowe za granicą spłodzone idee socjalistyczne wzbudzają w nich obawę o jutro. Tam znów kupcy i rękodzielnicy, którym szarlatani łącznie z czarną armią popsuli kredyt, gnębiąc ich na każdym kroku nieuczciwą konkurencją towarów z podstępnej pochodzących kredy, tam znów urzędnicy z za kordonu, których najeźdcy zepchnęli na najniższe stopnie urzędniczej hierarchji, tam wreszcie urzędnicy państwowi, o których losie radzi od lat wielu parlament, a oni bladzi, wynędzniali z niedostatku i choroby, zapożyczonym groszem ratują się w nadziei doczekania obiecywanej lepszej doli.,.

Jakżeż więc można mówić o humorze, o chęci do zabaw, gdy te zrezygnowane oblicza, częstokroć gorzkie cierpienie ukrywają, by nie smucić swych żon i ukochanych dziatek. Taki jest niewesoły obraz tegorocznego towarzystwa szczawnickiego, jeden z objawów naszej doli, który nie tylko tu, ale wszędzie spotykać się daje. Na tem szarem tle, dodajmy jeszcze, snują się czarne postacie uprzywilejowanego ludu izraelskiego, których wszystkiemi zmysłami, a zawsze z odrazą poczujesz. Uciekniesz przed nimi ze Szczawnicy, to potkniesz się o ich tłumy w Krynicy, w Iwoniczu, Truskawcu, a wszędzie w bardziej jeszcze zwiększonej edycji; wyjedziesz do wód zagranicznych znowu spotkasz ich w gromadzie, słowem, gdzie tylko są zbawienne wody, tam znajdziesz smutną odwrotną ich stronę: czarną, wielką, równie wstrętną, jak natrętną armję żydostwa.

Powracając do właściwego tematu podzielić się z Wami mogę weselszą nad obraz powyższy wiadomością. Sprawozdanie komitetu, urządzającego wczoraj loterję fantową na cel utrzymania miejscowej instytucji Sióstr Służebniczek, opieką chorych gości się zajmujących i na wewnętrzne przyozdobienie nawy kościoła, jest wśród mglistej i zachmurzonej atmosfery szczawnickiej gwiazdką jaśniejszą, bo wykazuje rezultat 698 złr.

We czwartek zjeżdża tu „Echo" lwowskie, które zapewne młodzieńczem tchnieniem narodowej pieśni złudzi znowu kolonję szczawnicką, jak to miało miejsce z występem krakowskiego Chóru akademickiego. Pozwoli nam to może zapomnieć, że wczorajszy bal, na tyle szlachetny cel, jak pomoc dla weteranów z r. 1831, nie cieszył się takiem, jak lat poprzednich powodzeniem. Stanęło bowiem tylko 30 par do poloneza, a 20 do mazura, za to zabawa szła ochoczo do 3 godziny rano. Niestety dochód przyniósł wszystkiego 50 złr.

Krynica d. 4 sierpnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Pięknej uroczystości byliśmy świadkami w niedzielę 2 bm. Odbyło się mianowicie poświęcenie statuy Matki Boskiej, ustawionej przed kościołem, której fundatorami są pp. Klimczykowie, obecni właściciele willi Tatrzańskiej w Krynicy. Figura stanowi „pendant" do stojącej już statuy Chrystusa, na której postumencie widnieje napis „Goście Krynicy z pod trzech zaborów w stuletnią rocznicę smutnych w Ojczyźnie wypadków 1895 r.", przedstawia „Królowę Niebios" z prawą ręką wyciągniętą do błogosławieństwa, z lewą przyciśniętą do łona. Statua wysokości 2 metry, wykuta w kamieniu pińczowskim, wyszła z pracowni artysty rzeźbiarza p. Tadeusza Błotnickiego. Dzieło znamionuje prawdziwego mistrza, odznacza się bowiem nietylko oryginalnością pomysłu ale i wykonaniem w najdrobniejszych szczegółach zupełnie wykończonem. Wspaniale odbija figura na tle zieleni łąk i lasu pod szafirowym baldachimem niebios! W obliczu majestat i słodycz dziwnie silne a miłe sprawia wrażenie. Czujesz jakieś nieopisane uczucie ulgi, widząc nad sobą tę błogosławiącą cię rękę Bożej Rodzicielki i wierzysz głęboko, że Ona przytuli cię do łona i w smutku pocieszy. I stałbyś tak, zapatrzony w natchnione to dzieło artysty, godzinami całemi, czując dla twórcy niekłamaną wdzięczność, że tak żywo przedstawił ci tę „skarbnicę łask", której cześć oddają na całej ziemi.... Poświęcenia dokonał proboszcz ksiądz kanonik Gruszka i wypowiedział stosowne do okoliczności kazanie z przygotowanej przed kościołem kazalnicy. Uczestników szczupła zaledwie zebrała się garstka, a to z powodu ulewnego deszczu, który po kilkutygodniowych upałach, od soboty bez przerwy nam dokucza. Do uczty wyprawionej w restauracji kurhausu kosztem pp. Klimczyków zasiadło osób około 30, wśród których zauważyliśmy reprezentantów duchowieństwa, lekarzy ordynujących w Krynicy, komisarza p. Mrawinczicza, pp. Tadeuszów Błotnickich i w. innych. Wśród uczty wzniesiono szereg toastów, a tenor p. Malawski odśpiewaniem kilku utworów uprzyjemnił zebranie.

Życie towarzyskie, pomimo, że „sezonu słońce na zachód się chyli" bardzo leniwo płynie. Jakie takie ożywienie gorączkowe panuje na reunionach, które zwykle po koncertach się odbywają i na tem koniec. Gdzie ten ruch, to życie, które tu dawniej panowało? W wspomnieniu tylko żyje ono, martwota obecnie panuje. Koncert lwowskiego Tow. śpiewackiego „Echo" rozbudził na chwilę ospałych. Publiczność zapełniła salę „po brzegi" tak, że zabrakło biletów i „Echo" daje drugi koncert we środę 5 bm. Perłą wieczoru, który się odbył w poniedziałek 3 bm., był śpiew p. Szymańskiego art. opery lwowskiej. Dźwięczny, silny głos, pełna uczucia i zrozumienia, ujmująca powierzchowność, oto środki, któremi artysta ten podbija. Entuzjastyczne oklaski jakiemi darzyła go publiczność, za prześliczne wykonanie prologu z „Pajaców", świadczyły wymownie, że prawdziwie piękny śpiew znajdzie zawsze uznanie i wielbicieli. Chór „Echa", pod kierunkiem znanego kompozytora J. Galla złożył dowód olbrzymiego postępu i zbierał zasłużone długotrwające oklaski. Podobały się szczególnie piosenki Galla. Mistrzowska gra na skrzycach p. Antoniego Biernackiego, dopełniła programu wieczoru, poczem nastąpiły tańce, które pod znakomitym aranżerem p. Pilarskim trwały do 4 rano.

Oprócz drugiego koncertu „Echa" zapowiedziane są na 10 bm. koncert p. Malawskiego tenora z współudziałem p. dr. Gembarzewskiej (śpiew.) pny Baranowskiej (skrzypce), pp. Senowskiej i Milewskiego

art. dram. teatru krakowskiego, oraz dyr. Wrońskiego, dalej na 15 i 16 koncert „Lutni" lwowskiej i w. innych.

Część dochodu z koncertu p. Malawskiego przeznacza sympatyczny nasz tenor na dokończenie budowy kościoła, zachęcać więc nie potrzebuję do licznego udziału. Kto chce słyszeć prawdziwie piękny, porywający śpiew tenorowy, mistrzowską grę na skrzypcach młodej, utalentowanej wirtuozki, a przytem poprzeć tak wspaniały cel, jak dokończenie wnętrza kościoła, w którym dziękujemy Stwórcy za odzyskane w Krynicy zdrowie i siły, ten pospieszy na koncert 10 bm. i wiem napewno, że bilety wszystkie zostaną rozkupione.

Kartki z podróży.

II.

Pekin.

[Dalszy ciąg].

Charakterystyczną cechą Pekinu jest błoto, zalegające zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne dzielnice. Pod tym względem ustąpić musi Pekinowi pierwszeństwa każde, chociażby najbrudniejsze nasze miasteczko, zamieszkałe przez synów Izraela, nieodznaczających się, jak wiadomo, czystością.

Gdy spadnie deszcz obfity, Europejczyk, przyzwyczajony do bruków, nie jest w stanie chodzić po ulicach. Chcąc przebyć ulicę Hadamen, będącą dla Pekinu tem, czem dla Krakowa są np. Rynek główny lub Florjańska w porze deszczowej, trzeba koniecznie wsiąść na osła, lub na długonogiego muła, inaczej bowiem trzeba brnąć w błocie po kostki i to na najgłówniejszej ulicy.

Na Hadamen znajdują się najokazalsze sklepy, których wygląd jest tak samo godnym widzenia, jak i towary, ofiarowane przez sprzedających.

Trudno doprawdy uwierzyć, ile trudów zadaje sobie kupiec chiński, ażeby sklep swój upiększyć i przyozdobić. Urządzanie wystaw w oknach, praktykowane powszechnie w Europie, w Chinach jest nieznane. Za to cały front sklepu przyozdobiony jest bogato najrozmaitszego rodzaju rzeźbami fantastycznemi, biegnącemi w górę nieraz po nad dach domu.

Niejednokrotnie cała fasada bywa pozłocona tak, że przyozdobienie jej więcej jest warte, aniżeli dom cały.

Godziny całe można spędzać na ulicach, przyglądając się sklepom, pomimo bowiem, że styl ich jest jednakowy, nigdzie jednak nie spotka się dwóch podobnych. Jako główne motywy rzeźb owych, obok kwiatów i liści, przeważnie lotosu, lub kasztanu, spotykamy legendy laoistyczne i buddystyczne.

Tego rodzaju bogate upiększenia przyozdabiają nietylko sklepy ze starożytnościami, z wyrobami jedwabnemi, porcelanowemi lub innemi kosztownościami, ale także wszelakie sklepy z pieczywem, mięsem, krawieckie, stolarskie, jednem słowem wszystkie, wystawiające jakikolwiek towar na sprzedanie.

Wchodzimy do pierwszego lepszego sklepu, n. p. z towarami jedwabnemi. Właściciel zaprasza nas do przedziału, znajdującego się po za sklepem właściwym, sadza na miękkiej m cie, częstuje filiżanką herbaty i dopiero po tem wszystkiem zaczyna powoli okazywać różne towary i podawać ich ceny. Kupiec chiński nie lubi spieszyć się przy załatwianiu interesu, więc też Europejczyk, przyzwyczajony do szybkiego kupna, musi tu albo cierpliwie słuchać najrozmaitszych opowiadań, najczęściej nie mających nic wspólnego z treścią interesu, albo też w razie okazywania niecierpliwości, za karę dostaje towar gorszy i droższy.

Kupiec pokazuje zazwyczaj towar najlepszy; jeżeli widzi, że kupujący dłużej się nad nim zastanawia, wówczas już na tym poprzestaje. W razie odpowiedzi, że cena jest za wysoka, przynosi towar gorszy, co mu nie przeszkadza jednak podać również wysokiej ceny. Targ odbywa się bardzo wolno, przy nieustannem popijaniu herbaty.

Można prawie przyjąć za pewnik, iż kto ma duży zasób cierpliwości i zdobędzie się na to, że przebywszy kilka godzin w sklepie, wyjdzie z niego, aby doń nazajutrz, lub przez kilka dni z rzędu znów powracać, ten otrzyma towar żądany za połowę ceny, pierwotnie przez sprzedającego wskazanej. Tylko cierpliwością zyskuje się w Chinach ustępstwo na cenie.

Każdy Europejczyk, przebywszy tu czas niejaki i przyjrzawszy się wyrobom przemysłu tutejszego, musi dojść do przekonania, jak mało przedmiotów przybywa z Chin na targi europejskie i jaką tandetę kupujemy w stolicach europejskich pod postacią „chińszczyzny" i „japońszczyzny". Są to przeważnie wybiórki, których na miejscu sprzedać nie można. A jednak za tanią stosunkowo cenę, możnaby nabywać wyroby dobre.

Dlaczego się tak dzieje? Oto Chiny są dotychczas jeszcze krajem prawie zupełnie zamkniętym dla handlu europejskiego. To, co z Chin wywozimy lub do Chin wysyłamy, jest zaledwie nieznaczną cząstką wobec olbrzymiej masy wyrobów, jakich dostarcza pracowita ludność chińska i wobec olbrzymiego zapotrzebowania ze strony owych miljonów, zamieszkałych w państwie Bogdychana.

Gdyby przemysł europejski miał wolny dostęp na rynki chińskie, zaręczyć można, że zdwojona nasza produkcja jeszcze nie wystarczyłaby na potrzeby Chińczyków. Otwarcie targów chińskich usunęłoby na długie czasy sprawę nadprodukcji, zagrażającej coraz bardziej europejskim stosunkom ekonomicznym.

Zdaje się jednak, że w tych wyścigach o zdobycie rynków chińskich, pierwsi staną u mety Japończycy, którzy rozwijają z gorączkową skrzętnością przemysł na sposób europejski i starają się o torowanie drogi swoim towarom na targi chińskie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HELENA MORTON.

NOWELA,

przez **Pawła Heyse'go.**

(Z niemieckiego).

(Ciąg dalszy).

„Drogi przyjacielu! Piszę do ciebie, gdyż zdaje mi się, iż nie powinniśmy się prędko ze sobą zobaczyć. Wczoraj wieczór zadałeś mi pytanie, na które winna ci jestem odpowiedź. Lepiejby było, gdybyś mi go wcale nie czynił, lub przynajmniej gdybym miała dosyć spokoju i przytomności odpowiedzieć ci tak, jak teraz to czynię. Gdybym poprzednio sama sobie kwestję taką stawiła, miałbyś już gotową odpowiedź.

Zapytałeś mnie: czy jestem szczęśliwą?... Nie odpowiedziałam, a ty, jakże mogłeś sobie tłómaczyć to moje milczenie?... Przyszedłeś w usposobieniu, które bolesnem mi było, odchodziłeś bardziej jeszcze wzburzony. Zanadto ciebie cenię, ażeby mogło mi to być obojętnem. Pytanie, które mi nasuwa najszczersza przyjaźń dla ciebie, czy byłabym szczęśliwą bez ciebie, mogłoby mi być oszczędzonem przez jedno spojrzenie twoje.

„Nie chcę wiedzieć, co ciebie unieszczęśliwia. Tuszę, iż w żadnej walce życia nie złożyłbyś broni w sposób niemęski, że walczyłbyś jako rycerzowi przystało.

„Może to wzmocni odwagę twoję, gdy ci powiem, iż niczego tak serdecznie nie pragnę, jak tego, ażebyś był zwycięscą w każdem niebezpieczeństwie. Powinno to dodać ci spokoju, troska o moje szczęście nie powinna cię obarczać. Jestem szczęśliwą, drogi przyjacielu, jestem szczęśliwą i co mnie jeszcze do wdzięczności dla nieba pobudza, to nadzieja, iż sama sobie na to szczęście zapracuję.

„Od czasu nieobecności mego męża często widywałeś mnie zadumaną i niespokojną. Dlaczegobym miała ukrywać przed tobą przyczynę tego?... Oto jedno, co mię martwi; poczucie, iż nie uszczęśliwiam mego męża tak, jakbym chciała.

„Znasz go, gdyż jest on przyjacielem twoim. Wiesz, iż szlachetniejszego człowieka nie ma pod słońcem. I mąż taki do mnie należy i każdodziennie okazuje mi swoją miłość; a jednak nie znalazłam sposobu, aby stać się wszystkiem dla niego.

„Ukrywałam przed tobą, iż na wszystkie moje listy ani jednem słówkiem nie odpowiadał. Zaledwie dziś wyjaśniła mi się ta nagła podróż jego. Z wiedzą nigdy mu nie przyczyniłam zmartwienia.

„Gdy powróci, otwarcie się z nim rozmówię, a gdy pozna smutek, jakie mi jego oddalenie sprawiało, powie mi wszystko i rozwieje jedyny cień, zasępiający szczęście moje.

„Nim to nastąpi. drogi przyjacielu, pozwól mi wyrzec się tych godzin, które przywykłam skracać sobie twoją rozmową. W niepokoju, z jakim oczekuję listu lub też powrotu mego męża, nie byłabym zdolną prowadzić dalej naszego czytania i śledzić ciągu twej myśli tak spokojnie, jak tego wymaga chęć nie stracenia jej wątku. Bądźże wesołym i swobodnym zwycięscą, gdy się po krótkiej przerwie zobaczymy znowu.

Twoja przyjaciółka,
Helena Morton".

List ten już oddawna przeczytałem, ale nie mogłem jeszcze oderwać oczu od wątłego i wybladłego, a jednak stanowczego pisma. Starzec nie przerywał mej cichej zadumy. Zegar poważnie i głośno się odzywał, a w końcu dźwięcznie wybił jedenastą. Wtedy od okna się odwrócił, podszedł ku mnie i lekko kładąc rękę na mem ramieniu, rzekł:

— Czy zniesiesz spokojnie, gdy kto powie, że Helena Morton umarła nieszczęśliwą; czy też przekonasz go, ze wyższą była od nieszczęścia?...

Uścisnąłem jego rękę, gdyż głosu mi zabrakło.

Wziął list i złożył go starannie; poczem wrócił do okna i prawie o północy opowiedział mi resztę.

— Dzień był jasny, a jednak naokoło siebie nic nie widziałem. hałasu na ulicach nie słyszałem. Skorom, tylko list ten przeczytał, głęboki mnie smutek ogarnął. O! czyżem zasłużył przez moją niedorzeczną zazdrość, na te słowa miłości i zaufania. Przeczytałem swój wyrok. Jak zbrodniarz unikałem ludzkiego spojrzenia i drżałem przed niem. Kimże ja jestem? Nędznym... samolubem, z ciasną głową i nienasyconem sercem, zbrodniarzem zadowolonym z siebie i litującym się nad sobą samym, niegodnym byłem spotkać jej na drodze mojego życia. I dla takiego jak ja człowieka, naraziła się na wszelkie dolegliwości podróży zimowej na morzu. O! zapewne! musiała sądzić, iż moje statki są mojem bóstwem, skoro przez ubiegłe trzy lata większą część czasu im poświęcałem. O! musiała przy mnie na niebo zasłużyć.

Wszedłem na plac portowy śledząc morze oczyma. W tej chwili odezwał się dzwon portowy, oznajmiający wpłynęcie statku. Z przerażeniem spojrzałem na wjazd do przystani i spostrzegłem jeden za drugim, moje trzy statki poprzedzone przez Jana Mejera. Pierwsze dwa płynęły zwolna, powiewając flagą; lecz gdy trzeci „Fenix" zawinął do portu, ujrzałem na maszcie godło smutku, na wpół złamaną chorągiew. Padłem bez zmysłów na kamienie grobli portowej.

Gdym wrócił do przytomości, znalazłem się na tem samem miejscu, tłumem otoczony. Wszyscy mnie znali i każdemu jasnem było, dlaczegom zemdlał. Wierny Mansfeld stał przy mnie. Jan Mejer wstępował na schody przystani i dążył ku mnie. Gdy się przez tłum przecisnął i zdjął czapkę, podał mi rękę, nie wytrzymał stary marynarz i zaszlochał jak dziecko. Uspokoiwszy się nieco, uścisnąłem go i pociągnąłem w stronę wodozbioru. Weszliśmy do czółna z nim i z Mansfeldem i popłynęliśmy w stronę „Fenixa".

(Ciąg dalszy nastąpi).

MONTE-LEONE.

POWIEŚĆ

Pawła d'Aigremont. (120)

(Ciąg dalszy).

— Dałem ci dwa miljony przecie, a wydarłeś coś i Berthierowi także... ale mniejsza o to, nie moja to, lecz twoja sprawa... Berthier przyjdzie z pewnością do ciebie błagać o pożyczkę. Dasz mu otóż do zrozumienia, że mu jej udzielisz pod warunkiem, gdy ci złoży dalsze szczegóły wynalazku, te bowiem, co posiadasz, nie są wystarczające. Ma on, oprócz przepisów chemicznych, specjalny przyrząd, którego rysunku nawet ci nie udzielił — rozumiesz?... Niechajże dostarczy tego przyrządu z wyraźną wzmianką. iż pochodzi od niego i przeznaczony jest dla Anglji. Dasz mu za to, co sam zażąda.

— Ależ ja mogę się zaplątać, mości książę!... Mogę własne piórka osmalić w tej maszynie!...

— Nie bój się!... Ja kupuję tę całą sprawę i cały jej nakład... Bądź spokojny, dostaniesz porządne komisowe... Zresztą wiesz, com ci powiedział: Służ mi wiernie, słuchaj bezwzględnie, a wszelkie zyski, jakie mieć będę z twego banku, zostaną dla ciebie.

Oblicze Claina rozjaśniło się na te słowa.

— Życzenia księcia zawsze są dla mnie rozkazem.

— A cóż Pigaletti? — zapytał Monte-Leone.

— Zacząłem śledzić go od dnia, w którym mi książę raczył to polecić.

— I cóż?...

— Mam już plan statku.

— Papiery podpisane?...

— Jutro o godzinie trzeciej dostanie pięćset tysięcy fraków za własnoręczną formalną deklaracją. Wzdragał się ogromnie i to spowodowało opóźnienie. Teraz zgodzi się już na wszystko!...

— Pewny jesteś?...

— Najpewniejszy. Rzadko spotkać tak nikczemną naturę. Berthier i de Graves, to rozpasani rozpustnicy. Pigaletti nie ma potrzeb żadnych. Kocha on pieniądze dla pieniędzy.

— Nie cofnie się?...

— Z pewnością nie! W każdym razie, plan statku przez niego jest wykonany, napisany objaśnienia jego własną ręką nakreślone, dziecko mogłoby dowieść mu tego.

— Dobrze; co tylko nowego otrzymasz, przynoś mi to niezwłocznie.

— Tak zrobię, mości książę.

Wszedł woźny i zameldował:

— Pan baron Berthier prosi o chwilę rozmowy.

Claïne nim odpowiedział, spojrzał na Monte-Leona, ten zaś bardzo blady rzekł.

— Proś; ja wyjdę drugiemi drzwiami... nie mów nic panu Berthier, że byłem u twego pana.

Sztywny, jak kij, Leicester wyszedł pospiesznie.

— Książę odchodzi? — zapytał Claïne.

Nie! chcę słyszeć waszej rozmowy; umieść mnie więc tak, abym był niewidzianym.

Claïne poskoczył do portjery ze starej makaty, uniósł ją i ukazała się nisza kwadratowa, z której nie było żadnego wyjścia.

— Tu... — powiedział krótko.

— Ledwie spuścił portjerę, na progu ukazała się sucha, zgięta postać małżonka Sylwji.

— Drogi przyjacielu! — zawołał słodziutkim głosem — zmuszony jestem prosić cię o uregulowanie naszych rachunków.

— Jakich?...

— Z powodu bomby!...

— Zmiłuj się, kochany Berthier, przecie dałem ci już za nią wszystko, co mogłem.

— Chyba oszalałeś, inaczej w tak haniebny sposób nie miałbyś odwagi nie dotrzymywać danego słowa.

— Masz co na piśmie odemnie?... Jeżeli masz, pokaż, a spełnię wszelkie zobowiązania.

— O! nie byłbym tak znowu głupim, ażeby bawić się z tobą w pisanie... Lecz ty wiesz dobrze, jaki zawarliśmy układ z sobą?...

— Dałem ci miljon gotówką za wynalazek, z jakim do mnie przyszedłeś, po odprawieniu cię z kwitkiem przez ministerstwo wojny. Przekonany, że chciano cię tam okraść, zgłosiłeś się do mnie, ja zaś kupiłem towar, nie ukrywając bynajmniej, że przeznaczam go dla Angiji, co dla mnie jest zupełnie naturalnem, matka moja bowiem była Angielką, ja więc choć urodzony w Australji, uważam Anglję za swoją ojczyznę.

— Wiem to wszystko, wiem — odparł Berthier — mów jednak o warunkach, pod jakiemi kupiłeś wynalazek?...

— Cóż ci tak pilno, u licha! — odrzucił Claïne z flegmą. — Cierpliwość, a i do warunków dojdziemy. Otóż, dałem ci miljon, boś strasznie potrzebował gotówki i przyrzekłem podzielić się tem, co zdołam wydusić z Angji. Niestety, jak się zdaje, cały ten twój wynalazek nie wart niucha tabaki, bo go nie można zużytkować ani do fabrykacji bomby, ani do wyrzucania torpilów.

— Co?... W kłamstwa bawić się zaczynasz?

— Nie. Nie wart nic a nic bez planów szczegółowych. Dostarcz ich, a dam ci połowę; rzetelnie połowę, choćby dziesięciu miljonów.

— Nie wierzę! Obiecujesz zawsze dużo, a potem, pod rozmaitemi pozorami, to, że musisz opłacać tych i owych, to znów, że zostaniemy zdenuncjowani, liczysz mi dziesięc razy więcej niż wydałeś.

— Tym razem — odparł Claïne — całą odpowiedzialność biorę wyłącznie na siebie; możesz spać spokojnie i nie bać się ani o swoję skórę, ani o swoje pięć miljonów. To taka prawda, jak to, że się Claïne nazywam, i że mam zaszczyt być obywatelem wolnej ziemi amerykańskiej.

Gdy wymawiał wolno i z naciskiem cyfrę pięć miljonów, oczy Ludwika Berthier zaświeciły jak ślepie głodnego wilka.

Pięć miljonów, to możność uwolnienia się od Monte-Leona i możność rozpoczęcia nowych spekulacyj, w olbrzymie powodzenie których głupiec, Ludwik Berthier, wierzył zawsze niezachwianie.

— Postaram się o te plany, odrzekł — ale nie taję, że to trudna sprawa; mój wynalazca sądzi, że jego torpila jest w ministerstwie wojny i wścieka się, że każą mu tak długo czekać... Zażądam przynajmniej tego, czego zdaniem twojem, brakuje; lecz, że to człowiek biedny, będę prawdopodobnie zmuszony dać mu znowu jakie zaliczenie na rachunek sumy obiecanej. Zaliczenia te zmuszają mnie żądać od ciebie także trochę pieniędzy naprzód...

— Przed doręczeniem mi planów — odpowiedział Claïne. — Nigdy!... Nie licz na to!... Już i tak palnąłem głupstwo olbrzymie, bo zapożyczyłem się na ten miljon, który ci dałem...

Berthier uczuł dreszcz, przechodzący go po ciele. Jeżeli Claïne odmówi, ostatnia nadzieja zniknie i straszna katastrofa, ruina... okaże się nieuniknioną.

— Nie dasz tedy?...

— Nie odmawiam — oświadczył Claïne, który, jak w księdze otwartej, czytał w duszy stojącego przed nim nędznika — nie odmawiam... ale pojmiesz sam chyba, mój drogi, że gdybym w interesach rządził się uczuciem, pracowałbym dla drugich, nie dla siebie.

— Przysięgam, że przyniosę to, czego żądasz, przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

— A jeżeli wynalazca odmówi?...

— Nie ośmieli się...

(Ciąg dalszy nastąpi).

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Ludu Izraela! Przedwczesną była radość twoja, oraz mnogich twoich niewolników i przyjaciół, jeśliś mniemał, że nastał koniec niedoli twojej! Nie stało już wprawdzie Veraxa, który dzielną dłonią ujmował skuteczne narzędzie, stosowane przeciwko tobie jeszcze w świątyni Jerozolimskiej przez Chrystusa Pana, i niem chłostał bez miłosierdzia plugawe plecy twoje; ale choć Veraxa między nami już nie ma, myśl jego żyje, rozszerza się coraz trjumfalniej, nowych wciąż jedna sobie zwolenników, naśladowców i służebników. I oto ja, Korwin, pomiędzy tymi zwolennikami, naśladowcami i służebnikami najskromniejszy, najbardziej maluczki, najmniej powołany, chwytam za pióro pełen otuchy w zwycięzką moc idei, pod której skrzydła się chronię i w imię Boże zaczynam prowadzić w dalszym ciągu jeden z działów szlachetnej pracy nieodżałowanego, niezapomnianego publicysty!

A chociaż ani talentem, ani swadą, ani ciętością pióra, ani dowcipem, ani bystrością wyjątkowo zorganizowanego umysłu, zmierzyć się z nim nie mogę, to przecież jego jako wzór, jako ideał sobie stawiając, będę się starał wiernie go naśladować w przywiązaniu do dobrej sprawy, w szczerości, prawdomówności i śmiałości, w nieustraszonej odwadze własnego zdania, w rzetelnej i uczciwej służbie pod chrzescijańskim i narodowym sztandarem. Dlatego też zaprawdę powiadam ci, o ludu Izraela, skłonny do umiarkowania we wszystkiem co dobre, a do przesady we wszystkiem co złe, zgoła przedwczesną cieszyłeś się radością, bo maluczko, maluczko, a na twoich wybranych plecach ukażą się czerwone pręgi, wysmagane biczem pracownika tem skwapliwszego, że rozpoczynającego dopiero nowicjat w rzemiośle okładania!

* * *

Po tej przemowie do Izraela, któremu na tych szpaltach pierwsze zaiste należy się miejsce, wypada i niewybranemu narodowi nieokazywać lekceważenia, ale w sposób grzeczny, uprzejmy, miły, słodki, na wzór tego, jaki jest przestrzegany w krakowskim Bazarze krajowym, odpowiedzieć na przelatujące mi koło uszu pytanie, jakby żywcem z Nieboskiej komedji wyjęte: „A skąd ty się wziął?“ Ale choć to pytanie ma ze względu na pogardę dla gramatyki, szalenie poetyczny nastrój, odpowiedź prozą prosto z mostu wyrżnę, a co najwyżej dla nadania sobie kontenansu, jako wstęp tylko umieszczę mniej wprawdzie poetyczny, bo już całkiem gramatyczny, ale zawsze przecież Mickiewiczowski frazes: „A jak się stało, opowiem...“

A więc od kilku lat cierpię na katar oskrzeli. Nieprzeliczony zastęp lekarzy po opukaniu z tyłu i z przodu za dwa, za trzy, nawet za pięć guldenów zadecydował zgodnie, że zdrowie schowało się w źródłach Szczawnickich i że tam go sobie poszukać muszę. Wprawdzie w sztukę lekarską w sam raz tyle mam zaufania, co Molière nieboszczyk i mniemam, że drugi wielki nieboszczyk Goethe świętą miał rację, kiedy twierdził, że lekarze z biednym chorym robią wszelkie możliwe i niemożliwe próby *um es am Ende gehen zu lassen, wie's Gott gefällt* — nie śmiem jednak odzywać się o tem publicznie od czasu, gdy jeden z szanownych Eskulapów patrząc na mnie z politowaniem, oświadczył mi, że mój sceptycyzm ani medycynie, ani lekarzom nie szkodzi, bo i osioł nie ma także do weterynarza zaufania, a pomimo tego bywa przez niego leczony i wyleczony. Od tej chwili tulę uszy po sobie i z bezprzykładną cierpliwością powyżej wymienionego zwierzęcia stosując się do rad powag lekarskich, czwarte już lato z rzędu jeżdżę do Szczawnicy. Ale choć ze wszystkich szczawnickich źródeł wodę piją, choć nawet z panią Lucyną w winta grywam, wszystko to mówiąc słowami diwy Zimajerowej „ani tycio“ nie pomaga mi na katar oskrzeli. W tym roku zacny Eskulap kąpielowy opukawszy mnie znów za całe sześć koron i zamyśliwszy się tak głęboko, że się sam spocił i że się moje także czoło „sperliło“ (o co przy upale było dość łatwo), oświadczył mi z głęboką powagą, że muszę używać inhalacyj solankowych, bo inaczej wkrótce już dostanę się na łono Abrahama, co może temu staremu Izraelicie bardzo, ale mnie mniej przyjemne być musi.

Otóż wczoraj, wziąwszy do serca wyrok lekarski, siedzę sobie najspokojniej w gabinecie inhalacyjnym i z powodu, że tam czytać nie można, rozmyślam nad różnemi ważnemi sprawami: nad ugodą z Węgrami, nad pokojem pomiędzy Menelikiem a królem Humbertem, nad stanowiskiem Anglji wobec powstania na Krecie, nad moralną i społeczną wartością robotniczych strejków, gdy w tem, w przedsionku inhalatorni usłyszałem zajadłą kłótnię służącego z woźnym urzędu telegraficznego, który domagał się, aby go przed moje oblicze wpuszczono, ale otrzymał odpowiedź, że choćby był nawet rodzoną babką stróża inhalatorni, bez biletu wpuszczony być nie może. Serce zabiło mi gwałtownie. Nie wiem dlaczego zdawało mi się, że depesza wzywa mnie do objęcia posady prezydenta miasta Lwowa, albo, że pochodzi z Zofji i zawiadamia mnie, iż Bułgarowie oflarowują mi tron bułgarski, pod warunkiem, że przyjmę prawosławie wraz z synem, którego jeszcze nie mam i którego w moim wieku już chyba mieć nie będę, albo wreszcie, że moja stara nieśmiertelna ciotka zamierza syta życia przenieść się do wieczności i chce, abym przyjechał po spadek.

Wybiegłem z gabinetu i wyrwałem telegram z rąk woźnego. Telegram przypominał dokumenty z *Wiener Ztg* i brzmiał lakonicznie: „Kochany panie Korwin! Mianuję Pana moim kronikarzem tygodniowym. Redaktor *Głosu Narodu*“. Zdaje się, że musiałem wtedy podnieść głowę wysoko do góry; owładnęło mną uczucie słusznej dumy, a woźny i słnżący, na których spojrzałem, wydali mi się, mimo, iż obaj przewyższali mnie wzrostem, czemś tak niesłychanie małem, że właściwie, aby ich dojrzeć, powinienem był mieć mikroskop pod ręką. Lecz krew, która nabiegła mi do twarzy, ustąpiła wnet miejsca śmiertelnej bladości, duma przepełniająca serce, niepokonanej obawie. Czy sprostam zadaniu, które włożono mi na barki, czy odpowiem zaufaniu, jakiem mnie obdarzono?

* * *

Darmo, trzeba było jak śp. żołnierz Milcjadesa z pod Maratonu dać nura z pawilonu inhalacyjnego do mieszkania, pakować rzeczy, och! i regulować rachunki, przysiąść się do jakiegoś poczciwego Warszawiaka, dobić się do Starego Sącza, kupić na koszt redakcji bilet drugiej klasy do Krakowa i jechać... Drugi to raz dopiero zdarzyło mi się w życiu jechać na cudzy koszt. Pierwszy raz podróżowałem w roku 1863 z Żółkwi do Lwowa na koszt rządu z banderją huzarów, którym dowodził rotmistrz hr. Herberstein...

Przez całą drogę to radość, to niepokój naprzemian opanowywały duszę moją. Nie pamiętam już na której stacji wszedł do wagonu młody jegomość, który wyjął książkę z walizki, rozpoczął przechadzać się po wagonie i coś pod nosem mruczał. Domyślając się w nim miłośnika literatury, chciałem się dowiedzieć, czy wie już o mojej nominacji na kronikarza *Głosu Narodu* i czy nie słyszał, jakie to w świecie literackim i społeczeństwie uczyniło wrażenie. Zaledwiem jednak usta otworzył, towarzysz podróży odpowiedział mi pospiesznie, że „nie ma czasu wdawać się ze mną w rozmowę, bo musi na łeb na szyję uczyć się nowej cywilnej procedury sądowej, która niebawem, bo już chyba z początkiem roku 1901 wejdzie w życie“. Niezrażony tem pierwszem niepowodzeniem, złapałem konduktora, który mi się przemykał pod okienkiem.

— Wiesz pan — zapytałem, — kto będzie pisywał w *Głosie* tygodniowe kroniki?

— Eh mój panie — brzmiała odpowiedź — wiem tylko to, że takich uwag, jakie pisał drogi nasz *Verax*, nikt już pisać nie potrafi!

Tak, ten człowiek miał zupełną słuszność. Jak tu nie było upaść na duchu! Rzuciłem się na rozgrzaną ceratę, aby snem uspokoić moje niepokoje, obawy i zwątpienie. Zasnąłem. Śniło mi się, zapewne dlatego, że byłem głodny, iż znajduję się na przyjęciu u jednego z byłych prezydentów miasta Krakowa. Siedzę więc wraz z innymi przy zastawionym stole, a przed każdym uczestnikiem biesiady stoi pół flaszki piwa, ćwierć flaszki wina, leży pół bułki, tudzież pół kurczęcia na talerzu. Właśnie wypiłem „Bruderschaft“ z róziowym doktorem Hermanem i ziółtym doktorem Adolfem i mieliśmy się nawet z dubeltówki pocałować, gdy mnie zbudziło wołanie: „Kraków! Krakau!“

Wybiegłem z wagonu i szybkim krokiem udałem się wprost do redakcji *Głosu Narodu*! Aż do tej chwili silnie byłem przekonany, że z powodu mojej nominacji w mieście panuje ogólne poruszenie. Zawiodłem się. Idąc przez miasto, widziałem, że stróże, jak zwykle, polewali trotoary, na wszystkich rogach ulic widniały rozlepiane zaproszenia do abonowania za cztery centy *Dziennika krakowskiego*, a obok nich afisze dyrekcji teatru, że z powodu słoty przedstawienia w Parku krakowskim nie będzie, oraz plakaty zachwalające mydło jędrne. Szedłem umyślnie ulicą św. Jana, aby spojrzeć do okien kamienicy nr 13; ale prócz zecera, który zasypiał nad jakimś rękopismem, nic ważnego nie spostrzegłem; więc nawet *Nowa Reforma* nie okazywała przestrachu! Na Rynku stał Mickiewicz w budzie, a Fejbuś Liebeskind przed hotelem Dreźdeńskim; żeniści w dalszym ciągu drutowali Kraków, zaś profesor Domański bacznem okiem śledził ruchy dwóch pachołków gminnych, polewających buty przechodniom i zamiatających ul. Szewską, a czyniących wrażenie ludzi chorych na wyschnięcie miecza pacierzowego.

To obojętność ogółu dotknęła mnie do żywego. Powiedziałem sobie jednak: „Pierwszy to twój a

z pewnością nie ostatni z a w ó d w tym wielkim z a w o d z i e publicystycznym, na którego bystre fale się puszczasz. Cierpliwości, wytrwałości i obojętności jeśli o twoją tylko osobę będzie chodziło, mój Korwinie! pamiętaj, że tu przedewszystkiem nie o ciebie, ale o dobrą sprawę idzie". Nieco raźniej otwierałem już drzwi redakcji i obejmowałem w kwadrans potem posadę kronikarza drugiej klasy z uwolnieniem od taksy i od prawa do emerytury po czterdziestu latach służby. Zamiast zaliczki otrzymałem librę papieru, trzy pióra i flaszkę atramentu, na której był napis: „Reform Schreibetinte". Cóż u licha, pomyślałem, czy napis ten ma być wskazówką, że mam się zaraz zabrać do *Nowej Reformy*? Poczucie ludzkości każe ją jednak oszczędzać. Od kiedy z Rzymu nadeszła depesza donosząca, że wydawnictwo *Riformy* zostało zawieszone, nerwy koleżanki z pod Pijarów muszą być tak silnie rostrojone tą złowróżbną dla wszystkich włoskich czy żydowskich *Riform* na świecie wieścią, że znęcać się nad niemi byłoby istnem okrucieństwem.

* * *

Po tym nieco przydługim wstępie, mógłbym już rozpocząć na dobre działalność kronikarską, zabrać się obcesowo do dystyngowanej polemiki z *Krakauer Zeiting*, zczesać Rygiera, że jeszcze nie ulepił Mickiewicza, jednego z ojców miasta, że chce obdarzyć Kraków wodą, co do której niedawno stwierdził profesor Olszewski, że jest istnym żurem, udzielić kilka rad prezydentowi ministrów, zacząć wojnę z doktorem Teodorem Herzlem, który chce utworzyć państwo żydowskie i zabrać nam wszelakiego żyda z Galicji, z dyrektorem Fałatem, że uczniom każe jedynie malować nagości, i to z twarzy uderzająco podobne do pewnej uroczej primaballeriny i t. d. i t. d. Ze względu jednak na to, że obecnie według praw międzynarodowych, zanim mocarstwa za łby się wezmą, jest zwyczajem, że wymieniają noty dyplomatyczne, poczem ambasadorowie żądają swoich pasportów i dopiero na samym końcu zaczyna się bijatyka, — ja też rozbójniczo jak Jameson na Transwaal na nikogo napadać nie myślę, lecz według praw wojennych pierwej wszystkim i każdemu z osobna przedstawię się kim jestem i jakie mam zamiary, a potem dopiero jak Bóg pozwoli, weźmiemy się za czuby.

Otóż urodziłem się w Wielkiem Księstwie Krakowskiem i żyłem pod różnymi mile i łaskawie panującymi nam namiestnikami: Mensdorfem, Zaleskim, Baumgartenem, Badenim, Gołuchowskim, Sanguszką, a zatem mam już lat sporo nie byłem posłem ani większej, ani mniejszej posiadłości; nie starałem się o godność radcy miejskiego, nie piastowałem ani publicznego, ani prywatnego urzędu, nie wynalazłem nowego mikroba, nie ułożyłem nowego kodeksu, nie należałem do komitetu budowy pomnika Mickiewicza i od żadnego stronnictwa nic nie otrzymałem, ani też cokolwiek otrzymać nie mam nadziei. Pędziłem dotychczas żywot spokojnego obywatela państwa, opłacałem regularnie podatki i aczkolwiek nie jestem w możności wykazać zasług, które w razie mej śmierci mogłyby spowodować hrabiego Dębickiego do napisania mi nekrologu, to jednak mam tę zaletę, że do działalności dziennikarskiej przystępuję niewinny, jak nowonarodzone dziecko, nieobarczony grzechami śmiertelnemi.

O stronniczość i schlebianie któremukolwiek stronnictwu nikt mnie posądzać nie może. Na sprawy polityczne i społeczne patrzę z wyższego stanowiska, a czy moje zapatrywania są słuszne, czy nie, przyszłość pokaże. Walczyć będę za tem, co dobre, prawe i szlachetne; gromić to, co podłe i dla społeczeństwa zgubne. Niczyjego honoru szarpać nie będę, a jeżeli kto go sam sobie poszarpie, to jedynie ten smutny fakt stwierdzę. Żadnego stronnictwa, jeżeli działa uczciwie, nienawidzieć nie będę. Kocham prawie wszystkich ludzi, prawie całą przyrodę, a nie lubię jedynie żydów, pluskiew i czosnku.

A nakoniec jeszcze jedna poważna uwaga. Wiem o tem, że jeżeli się wdam w polemikę, jeżeli powiem prawdę w oczy temu, lub owemu, to i ja otrzymam guza. Każdy jednak, kto ze mną do walki stanie, niech o tem będzie przekonany, że zawsze uznam w nim to, co jest w nim szlachetne, dobre i prawe, a gdyby go wyrokom Bożym podobało się przedemną do lepszego życia powołać, nietylko poświęcę mu wspomnienie uczciwe i sprawiedliwe, zasługom jego odpowiednie, ale nawet jak na prawego chrześcijanina przystoi, z czcią wezmę udział w ostatniej posłudze, bo człowiek, którego uprzedzenia i niechęci aż po za grób sięgają, nie jest według mego przekonania ani rozumnym, ani szlachetnym człowiekiem.

Kraków, dnia 8 sierpnia 1896 roku.

Korwin.

Teatr krakowski

wobec ubiegłego i zbliżającego się sezonu.

I.

Stanisław Tarnowski w jednym ze swoich szkiców („Studja do historji literatury polskiej" Tom II. str. 125), omawiając w formie krytycznej doznane przez siebie wrażenia sceniczne, zaznacza „widoczną obojętność dla teatru, która, jak słusznie powiedziano, zjawia się u nas co pewien odstęp czasu". Rok, o którym rozgłośnie znany krytyk wspomina, był rokiem, w którym na scenie krakowskiej ukazywały się po raz pierwszy pośmiertne komedje Fredry ojca. Nie brakło zatem ze wszech miar interesujących nowalij, obudzić mogących ciekawość najwybredniejszej publiczności, zwłaszcza, że ówczesny kierownik teatru, rozmiłowany w dramatycznem piśmiennictwie francuskiem, jaśniejącem jeszcze wtedy dziełami wysokiej literackiej lub scenicznej wartości, utwory wielkiego komedjopisarza polskiego przeplatał najefektowniejszemi i najświeższemi sztukami paryskiego repertoaru. Obojętność dla teatru była jednak w owej epoce „w powietrzu", „grasowała epidemicznie" jak dzisiaj, a szczupła sala teatralna przy placu Szczepańskim, równie jak w sezonie ubiegłym obszerna i przestrona sala nowego teatru przy placu św. Ducha, niemal ciągle świeciła pustkami. Dlaczego tak było, a nie inaczej, dlaczego i teraz to się powtarza — przypisać należy głównie „niełasce publiczności", która (za Stanisławem Tarnowskim życzyć wypada), „daj Boże, aby mogła być krótkotrwałą". Lecz czy prócz dominującego powodu nie możnaby znaleść innych pobocznych a ważnych przyczyn, pozbawiających scenę naszą sukcesu, jakim cieszyła się nawet w niedawnej przeszłości, pomimo, że prowadzoną była z mniejszem niż dziś zamiłowaniem i znacznie szczuplejszym nakładem starań i kosztów? Niezawodnie, że można i o nich to właśnie bez uprzedzeń i niechęci, zupełnie objektywnie i bezstronnie, ale zarazem bez niebezpiecznej i niewłaściwej pobłażliwości dla obecnej dyrekcji teatru krakowskiego pomówić pragniemy w chwili, kiedy na widnokręgu scenicznym zabłysnąć ma wkrótce zorza nowego sezonu dramatycznego.

Zacznijmy od przyczyn materjalnej natury. Przedewszystkiem mniemamy, że nie ma nic szkodliwszego dla sceny narodowej w Krakowie, jak „wytwarzanie sezonu operowego" w lecie. Konieczne przytem podniesienie ceny miejsc sprawia, że średniej zamożności kieszenie, te właśnie, które podtrzymują i utrzymują teatr, wypróżniają się zbyt gwałtownie i szybko, niemogąc następnie swym współudziałem zapewnić mu w sezonie, poświęconym dramatowi i komedji, równych, jednolitych, przeciętnie dobrych dochodów. Przedstawienia operowe nie przyczyniają się również do rozwinięcia i wykształcenia smaku publiczności, bo opera u nas może być tylko bardzo średnią, o małem cywilizacyjnem znaczeniu, z repertoarem starym i przebrzmiałym, a nadewszystko obcym, bo polski jest dotąd tak szczupły, że niemal jeszcze nie posiada racji bytu, zwłaszcza na scenie drugorzędnej, niemogącej z braku funduszów nadać mu nagłej siły wzrostu i przyczynić się do rozkwitu narodowej muzyki scenicznej. O operach, napisanych przed Moniuszką, mówić nie warto. Należą one tylko do historji. Moniuszko zaś sam pozostawił wprawdzie dzieła nieśmiertelne, niezaprzeczonej wartości, posiadające dotąd siłę przyciągania, ale utworów tych, jak wiadomo, jest zaledwo kilka. To, co po twórcy „Halki" skomponowano (dwie opery Żeleńskiego, parę Münchheimera, trzy Jareckiego, jedna Grosmana i spodziewana najnowsza Noskowskiego) nie są w stanie w mieście takiem jak Kraków, zapełnić nawet trzydzieści razy sali teatralnej, zwłaszcza przy podwyższonych cenach. Zadania zatem rozwijania rodzinnej, dramatycznej produkcji muzycznej mógłby się podjąć tylko teatr, rozporządzający co najmniej stu tysiącami subwencji, udzielonej przez państwo; bo ani kraj, ani miasto nasze na tak sutą oprawę zdobyć się nie może w żaden sposób. Otóż w obec tego smutnego położenia, narzucanie publiczności krakowskiej uciążliwego sezonu operowego jest złem, a nawet zgubnem stanowczo; bo muzyce polskiej nie oddaje się tem przysługi, a podkopuje istnienie rodzinnego dramatu i komedji, które już obecnie stoją na takim poziomie wydoskonalenia i dostojeństwa, że zasługują na bezwzględne, zwłaszcza, że stokroć tańsze, poparcie, tak ze strony mas, jak i władz autonomicznych, równie krajowych jak miejskich, o ile tylko takowe troszczą się rozumnie o moralne i materjalne dobro społeczeństwa.

Obecny, kończący się sezon operowy przekonał nadto nawet najzagorzalszych optymistów, że w teatrze krakowskim nie ma miejsca na operę. Przedsiębiorcy wielce energiczni, ryzykujący na zaaklimatyzowanie jej u nas i w tym celu łożący (bacząc na miejscowe stosunki) wcale znaczny kapitał, nie odnieśli korzyści. Przeciwnie, jak wszyscy twierdzą, grubo stracili. Panowie Heller i Bandrowski, zachęceni przeszłorocznem fenomenalnie wyjątkowem powodzeniem, wywołanem tylko nowością entreprzyzy i zręcznem manipulowaniem reklamy, walczyli obecnie z męstwem i wytrwale. Nawet poniekąd zdobyli wieniec zasługi przez wystawienie nowej, dotąd nieznanej opery polskiej „Goplany", Władysława Żeleńskiego; nie osiągnęli jednak dochodów, mogących pokryć koszta przedsiębiorstwa i wynagradzających ich pracę. A przecież pomimo strat niemal do dna wypróżnili kieszenie publiczności, wcale niedobrze usposabiając ją dla zbliżającego się sezonu dramatu i komedji, który z poczucia dobrze zrozumianego obowiązku, tudzież w imię szerszych i poważniejszych interesów, jak to już powiedzieliśmy wyżej, powinien być otoczony szczególną pieczołowitością wszystkich, on bowiem przyczynia się do moralnego i materjalnego dobrobytu miasta, podnosząc znaczenie Krakowa tak wobec kraju, jak też wobec innych ziem polskich, oraz zagranicy. Zresztą stary gród uniwersytecki, z wysoce cywilizacyjną przeszłością, słusznie szczycący się i jaśniejący licznym szeregiem szkół i instytucyj naukowych, musi mieć możliwie dobry teatr, ale poświęcony dramatowi i komedji. Opera jest pięknym, wspaniałym i miłym zbytkiem, na który nas jeszcze nie stać, gdy dramat i komedja stanowią moralny chleb powszedni, równie potrzebny dla bogatych duchem jak i dla maluczkich. O operetce nie wspominamy nawet, bo sama publiczność krakowska swem tegorocznem zachowaniem się, pełnem spokoju, taktu i stanowczości, wskazała, że odpowiednią dla „podkasanej Muzy", rezydencją i właściwem dla niej polem popisu jest teatrzyk w Parku krakowskim, ale nie gmach teatru miejskiego, poświęcony „narodowej sztuce". *Albert Prawdzic.*

KRONIKA.

Kalendarz kościelny. Dziś, w niedzielę Kamilla wyznawcy i Romana, wyznawcy, męczennika; jutro Wawrzyńca męczennika i Filomeny panny, męczenniczki; pojutrze Zuzanny panny, męczenniczki.

Jutro rozpoczyna się 40-to godzinne nabożeństwo ku czci św. Klary w kościele św. Andrzeja.

Kalendarz rybacki. — W miesiącu sierpniu wolno łowić wszelkie ryby, jak: bolenie, lipienie, głowacice i świnki, łososie, pstrągi, węgorze, czeczugi, klonki, szczupaki wyrozuby, brzanki, brzany i cyrty, leszcze, jazie, czopy, sandacze, oraz raki, tak samca jak samicę.

Kalendarz myśliwski. W miesiącu sierpniu wolno polować na: jelenie, kozły [rogacze], przepiórki i dzikiego gołębia. Dropie i pardwy, oraz wszelkie ptactwo błotne i wodne w ogólności.

Ochraniać należy: słonki, łanie, kozły, cięlęta i szpiczaki i kury, zające, borsuki, lisy, jarząbki, cietrzewie i głuszce, oraz bażanty i kuropatwy.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godzinie 4 minut 24, zachód przypada o godzinie [illegible] minut 8, długość dnia godzin 14 minut 44.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Kraków dnia 9 Sierpnia.

Składki. Na Wawel złożono od Ludomira G. w Szczawnicy 2 złr. 78 ct.

Budownictwo drogowe krakowskie, krząta się w roku bieżącym nader żywo, aby chodniki i drogi jezdne należycie uporządkować. Jak na teraz, mamy do zanotowania, że w ulicy Dolnych Młynów kończy się brukowanie nowych chodników i toru jezdnego od mostu na Młynówce, aż do ulicy Czystej. W ulicy Pędzichów buduje się nader potrzebny chodnik mozajkowy, który również wkrótce ukończonym będzie. W ulicy Grodzkiej pomiędzy Rynkiem a placem Dominikańskim, kończą przebrukowanie i rozszerzanie chodników płytowych, poczem we wtorek rozpocznie się przebrukowanie toru jezdnego, który w całej szerokości wyłożony będzie kostkami. Wskutek tej roboty, komunikacja wozowa na wspomnianej przestrzeni w ulicy Grodzkiej od wtorku do soboty zamkniętą będzie. W ulicy św. Tomasza wykonano nowy chodnik mozaikowy pomiędzy ulicą Florjańską a Szpitalną, idąc od ulicy Florjańskiej po stronie prawej. W ulicy Lubicz rozpoczęto przebrukowanie ścieków. W ulicy Pawiej ukończono budowę kanału, a rozpoczęto uregulowanie bruków. W najbliższej przyszłości rozpocznie się budowa nowego chodnika w ulicy św. Marka, pomiędzy ulicą Florjańską a św. Jana, oraz uporządkowanie ulicy Czystej, która za kilka tygodni będzie nareszcie na to miano zasługiwała. Dokończenie robót w ulicy Florjańskiej i uporządkowanie ulicy Sławkowskiej, podjęte zostanie zaraz po dostarczeniu przez dostawcę potrzebnych materjałów kamiennych. Budowa kanałów postąpiła znacznie naprzód. Prócz kanału w ulicy Pawiej, ukończono kanał na Rynku głównym, w ulicy Sławkowskiej w ulicy Bożego Ciała i Krakowskiej, rozpoczęto zaś budowę kanału w ulicy św. Sebastjana. Wreszcie buduje się kanał w ulicy Granicznej, gdzie natrafiono na znaczne trudności z powodu wysokiego stanu wody gruntowej, przez co roboty wykonują się w wodzie, co je bardzo utrudnia.

Posada dyrektora budownictwa miejskiego w Krakowie, podobno na kilka dni przed końcem świata obsadzoną będzie — tak przynajmniej zaręcza jedna z osób wtajemniczonych. Na jej też odpowiedzialność drukujemy powyższą notatkę.

Wypadek na torze kolejowym. W piątek pociąg pospieszny nr 1, wieczorem o godz. 8 m. 20 dążący do Krakowa, tuż za stacją „Krzeszowice“ przejechał dziewczynę, bawiącą u swego wuja, tutejszego kolejmistrza, p. Sarek, która, jak się zdaje, natychmiastową śmierć poniosła. Wina nieszczęścia leży we własnej nieostrożności dziewczyny, gdyż wszelkie przepisy bezpieczeństwa były uwzględnione.

Regulacja Wisły. Zajęcia komisji mięszanej, złożonej z inżynierów austrjackich i rosyjskich w sprawie robót regulacyjnych na Wiśle w części pogranicznej z Rosją, zostały już ukończone. Jak donosi *Warszaw. Dniewn.*, delegaci okręgu warszawskiego pozostaną na miejscu jeszcze przez czas jakiś, celem spisania prokokołu. Przed rozpoczęciem narad delegaci rosyjscy przedstawiali się prezesowi ministrów, hr. Badeniemu.

Handel jajami, któremu u nas w Galicji oddają się przeważnie żydzi, z każdym rokiem wzrasta. Najwięcej jaj za granicę wywozi monarchja austrjacko-węgierska. Że zyski z tego handlu są przeważnie udziałem żydów, naszą jest winą i czasby było, ażeby nasi przedsiębiorcy do tego handlu energicznie się zabrali, a wówczas nietylko odniosą wielkie zyski, lecz przyczynią się do ożywienia handlu chrześcijańskiego. W roku 1895 z Austrji i Węgier wywieziono 750.000 cetnarów metrycznych jaj; z Włoch 250.000 cetn. metr. a Francji 200.000 cent. metr. Do Anglji przewieziono 1,526.675.000 jaj wartości 4,003.400 funt. szterlingów, a z tych było 408,780.000 jaj z Austrji i Węgier. Do Niemiec przywieziono z Austrji i Węgier 377.544 cetn. metr., a do Szwajcarji 35.174 cetn. metr.

Szewcy w Bóbrce rozpoczęli walkę z handlarzami obuwia, którzy mając karty przemysłowe jedynie na sprzedaż gotowego towaru i nie będąc szewcami, zajmują się wbrew ustawie przemysłowej także braniem miary i dostarczaniem obuwia na zamówienia, czem naturalnie krzywdzą miejscowych rękodzielników i robotników. Kilku takich spekulantów i wyzyskiwaczy zaskerżył przewodniczy korporacji przemysłowej do starostwa, które zarządziło rozprawę. Wyzyskiwacze znaleźli rzecznika w osobie miejscowego notarjusza, a pokrzywdzeni nie mając nadziei uzyskania słuszności, udali się do inspektora przemysłowego Nawratila we Lwowie o protekcję i ratunek. W podaniu swojem dodają bardzo trafnie, że owi handlarze nadużywają uprawnienia, od wykonywania którego nie płacą żadnych podatków, szewcy zaś śrubowani przez administrację podatkową, tracą możność zarobkowania i opłacania nakładanych na ich nędzne warstaty co roku wyższych danin rządowych, krajowych i gminnych.

Dwużeństwo. Przed trybunałem karnym sądu obwodowego w Tarnopolu odbyła się ciekawa rozprawa karna o zbrodnię usiłowanego dwużeństwa. Jako oskarżony jawił się zarobnik Władysław Belcar, trzydziestokilko-letni mężczyzna. Był on małżonkiem sześćdziesiąt-letniej kobiety, która z pierwszego małżeństwa miała dwóch synów równych prawie ojczymowi wiekiem. Wdzięki starej żony nie bardzo nęciły będącego w kwiecie wieku małżonka, a kiedy jednego dnia pasierbowie mocno poturbowali ojczyma i z chaty wyrzucili, opuścił z lekkiem dość sercem wieś Stechnikowce i przeniósł się do Grzymałowa. W Grzymałowie słomiany wdowiec po kilku tygodniach, gdy z zarobkiem jego było dość krucho, postanowił na własną rękę i odpowiedzialność swoje małżeństwo uważać za rozwiązane, przyjął na się rolę rzeczywistego wdowca i starał się zrobić „dobrą partję“. Przedstawił się w maju r. b. jako wdowiec na wydaniu niejakiej Marji Czeladnik, przyszłej dziedziczce pół morga pola i połowy chaty, poprosił rodziców o rękę córki i został narzeczonym. Proboszcz grzymałowski ogłosił już trzykrotne zapowiedzi, ślub miał się odbyć dnia 2 czerwca. Poprzednio jednakowoż urząd parafjalny w Grzymałowie zażądał stosownie do swego obowiązku ze Stechnikowiec metryki śmierci rzekomo zmarłej małżonki ...i sztuczka się nie udała. Przyszła ze Stechnikowiec odpowiedź, że małżonka Belcara cieszy się wyśmienitem zdrowiem, a Belcar zamiast przed ołtarz dostał się do aresztu śledczego. Przy rozprawie stanął on naprzeciw swej narzeczonej i twierdził, że słyszał, iż żona jego była chorą niebezpiecznie, więc myślał, że umarła już, zanim się oświadczył Czeladnikównej. Marja Czeladnik miała jako świadek przy rozprawie sposobność przekonania się, że jej niedoszły mąż ma nietylko słabość do kobiet, ale i do cudzej własności, gdyż wedle odczytanej przy rozprawie kontestacji był już dwukrotnie za kradzież na rok więzienia skazany.

Trybunał uwolnił jednakowoż rodzimego propagatora poligamji dla braku istoty czynu zbrodniczego, albowiem Belcar, podając w urzędzie parafjalnym, że jest wdowcem, spowodował, że popełnienie przezeń zbrodni dwużeństwa stało się przedmiotowo niemożliwem, gdyż urząd ten musiał z tego powodu wydania metryki śmierci pierwszej żony oskarżonego i bez niej ślubu by nie udzielił, a więc dwużeństwo popełnionem być nie mogło. Humorystyczny epizod odegrał się następnie w sali rozpraw. Marja Czeladnik, otrzymując konsygnację na należytość, jako dla świadka jej należną, zaprotestowała przyjęciu tejże, żądając wynagrodzenia też dla innych trzech świadków, którzy z nią przyjechali do rozprawy z Grzymałowa, a nie byli przesłuchani. Przewodniczący radca Reinwarth z zadziwieniem skonstatował, że do rozprawy prócz Czeladnikównej nie zawezwano więcej żadnego świadka. Ku ogólnemu humorowi rozjaśniło sę nieporozumienie to w ten sposób, że Czeladnikówna, czytając na swem wezwaniu wydrukowany przepis: „czterej świadkowie w tej samej sprawie i z tej samej miejscowości mają prawo do jednej fury“, uważała, że jest zobowiązaną sprowadzić ze sobą trzech świadków jeszcze... i sprowadziła starostę i dwóch drużbów swego niedosztego małżeństwa.

Szczegóły śmierci ks. Reja. Do Rzymu nadeszły wreszcie szczegóły o nagłym zgonie księdza Konstantego Reja, wysłanego przez komitet dam rzymskich do Abisynji, celem niesienia pomocy jeńcom włoskim. Jak wiadomo, ks. Rej spotkał się z msgrem Macario (wysłanym celem wyzwolenia jeńców przez Stolicę Apostolską) w Port Said, poczem razem popłynęli do Gibuti, zkąd karawaną ruszyli w głąb Szoi. Ks. Rej zaraz z początku podróży zaczął niedomagać: schudł, zbielała mu broda, był zmęczony, widocznie klimat afrykański działał odrazu zabójczo. Lepiej znosili gorąco i trudy towarzysze wyprawy, Radzono tedy odrazu księdzu Rejowi, aby zaniechał dalszej drogi, aby pozostał w Gibuti, gdzie mógł być pomocnym przy ekspedycji niewysłanych jeszcze pakunków, które miały ciągnąć za główną karawaną. Ale Rej nie chciał o tem słyszeć; uważając się za naczelnika wyprawy, szorstko odpierał rady i dawał rozporządzenia. Tym sposobem d. 4 lipca misja wyruszyła, wioząc tylko 7.000 listów do żołnierzy. Przodem na dwóch wózkach jechali msgr. Macario i ks. Rej, sekretarz patrjarchy Macaria, Salama, zaś ks. Oudin i inni jechali na mułach z tyłu. Za nimi miała ruszyć karawana wielbłądów, z lekarstwami, prowizjami, paszą, ubraniem. Cała karawana składała się z 10 mułów, 16 wielbłądów, 16 najętych żołnierzy, 16 ludzi przy wielbłądach i z kilku sług, somalisów. Θ 4 kilometry od Gibuti karawana wypoczęła po raz pierwszy, gdyż już noc zapadła. Gorąco było tropikalne, podróżni poszli spać pod namioty. Nad ranem karawana z pakunkami jeszcze nie nadeszła, z powodu rozmaitych przeszkód, pomimo to, ksiądz Rej kazał zwinąć namioty, odprawił mszę św., po nim ks. Oudin. Tymczasem upał zapanował straszliwy. Pod namiotami było około +55° C. Wyjęto ładunki ze strzelb i rewolwerów z obawy, aby rozpalone lufy nie spowodowały wybuchu. Gdy ks. Rej, mgr. Macario i ks. Oudin stali jeszcze pod namiotem, przybiegł jeden ze służby z wiadomością, iż sługa Reja, Oskar Raul, zgodzony w Neapolu, zachorował. Ale i ks. Rej czuł się już niedobrze, nie poszedł do sługi, tylko się położył. Wysłano po lekarza do Gibuti, ale go nie było, przybył natomiast ks. Abadie, Francuz, mieszkający w Gibuti. Zastał już Oskara Raula umierającego. Pomyślano wtedy o przeniesieniu ks. Reja do Gibuti. Wsadzono go na wózek, a mgr. Macario odwiózł go, nie opuszczając na chwilę. W Gibuti dr Lafout przybiegł do łoża chorego i przekonał się zaraz o grożącem niebezpieczeństwie, krytykował nadewszystko tryb życia, który podróżni zachowywali podczas podróży, nie mając żadnego doświadczenia co do klimatu afrykańskiego. Ks. Oudin został na przystanku z karawaną; dostał wezwanie, aby wrócił do Gibuti. Zawinąwszy w prześcieradło ciało Oskara, zabrał je z sobą i powrócił. Zastał on już ks. Reja konającego. Ks. Rej stracił przytomność: otaczali go mgr. Macario i dr Lafoud. Wszelkie wysiłki, aby go przywrócić do zmysłów, były daremne; zaraz po północy d. 5 lipca skonał. Po kilku godzinach ciało ks. Reja, które w gorącu tropikalnem zaraz psuć się zaczęło, zostało pogrzebane na cmentarzu w Gibuti, obok zmarłego sługi, Oskara Raula.

Kraków dnia 8 sierpnia.

Ks. Maurycy Wilczyński wybrany został ponownie prowincjałem na kapitule OO. Reformatów, odprawionej dnia 6 bm. w Zakliczynie nad Dunajcem.

Nabożeństwo żałobne za spokój dusz ś. p. pięciu członków Rządu Narodowego, powieszonych w r. 1864 na stokach cytadeli warszawskiej, odprawił wczoraj w kościele księży Pijarów ks. Kallman, Pijar w asyście. Katafalk suto oświetlony i strojny w kwiaty, otaczały sztandary cechowe. Kościół był zaledwie w małej części zapełniony publicznością, zanoszącą pacierze za męczenników. Dziwnem też echem o mury kościelne odbijały się owe modły nielicznej garstki, brzmiała w niem nuta skargi na obojętność krakowian w obchodzeniu rocznic krwawych dziejów Ojczyzny. Czy słuszną jest skarga? Osądźcie sami.

Komisja podatkowa krakowska wydała dodatkową instrukcję dla właścicieli realności. Czytamy tam: 1) Według ustawy z dnia 12 lipca 1896 r. wymiar podatku czynszowego ma być przedsiębrany począwszy od roku 1897 na okres od dwóch do dwóch lat. 2) Za podstawę wymiaru podatku na lata podatkowe 1897 i 1898 mają służyć czynsze najmu z lat czynszowych 1895 1896. Gdy fasye czynszowe dotyczące czynszów najmu zeznanych przez właścicieli domów za rok czynszowy 1895 celem wymiaru podatku na rok 1896 już przedłożone i sprostowane zostały, przeto miejscowa komisja podatkowa wzywa właścicieli domów, aby fasje czynszowe tylko za rok czynszowy 1896 w terminie do końca sierpnia 1896 przedłożyli. 3) Na przyszłość należy fasje czynszowe za dwuletni okres czasu sporządzać i przedkładać. Jest atoli dozwolonem, w razie jeżeli w czynszach najmu w drugim roku czynszowym w porównaniu z pierwszym rokiem nie zaszły żadne zmiany, aby umieszczono we fasji klauzulę podpisaną przez właściciela domu lub jego uprawnionego zastępcę, że fasja niniejsza przy niezmienionych stosunkach czynszowych ma służyć za obydwa lata czynszowe. Gdyby jednak w osobie lokatora zaszła jaka zmiana, należy takową w dotyczącej kolumnie fasji czynszowej należycie uwidocznić. Również należy podać we fasjach czynszowych na rok 1897 i 1898, oprócz imienia i nazwiska także zatrudnienie (charakter) lokatora. 4) Dla przedmiotów podlegających podatkowi czynszowemu, powstałych wskutek nowej przebudowy lub dobudowy należy fasję czynszową przedłożyć najpóźniej do dni 14 po wynajęciu lub zajęciu na własny użytek pod zagrożeniem kary przepisanej za zatajenie czynszów. Czynsz ten aż do następnego dwuletniego okresu czasu, stanowić będzie podstawę do wymiaru podatku. 5) Zmiany w czynszach (podwyższenia lub zniżenia) w ciągu dwuletniego okresu czasu, nie wpływają na wymiar podatku za ten czas przypisanego.

Kopalnie wielickie zwiedzać będzie można w d. 16 bm., jako w dniu urodzin cesarza Franciszka Józefa. Oświetlenie pierwszej klasy. Biletów po 2 złr. 50 ct. za jeden (bez jazdy kolejowej) dostać zawczasu można w księgarni S. A. Krzyżanowskiego. Liczba osób ograniczona do 400, trzeba się za tem spieszyć.

Mianowania. Ministerstwo handlu zamianowało oficjała rachunkowego Antoniego Früauffa, rewidentem rachunkowym, następnie asystentów rachunkowych Rudolfa Krahla i Hipolita Mrozowskiego oficjałami rachunkowymi, a w końcu praktykantów rachunkowych: Jakóba Popiela, Edwarda Macieja Koitschima, Zygmunta Laidlera, Emila Paara Stanisława Hiolskiego i Romana Bahrynowicza, asystentami rachunkowymi w galic. dyrekcii poczt i telegrafów.

Wiadomości kościelne. Dyecezja przemyska: D. 12, 13 i 15 lipca b. r. udzielił ksiądz biskup święceń wyższych następującym alumnom seminarium dyecezjalnego: Florjanowi Stanisławowi, Gawronowi Leopoldowi, Hucińskiemu Michałowi, Kapinowskiemu Tomaszowi, Majewskiemu Antoniemu, Marciakowi Karolowi, Millerowi Karolowi, Romanowi Franciszkowi, Sękowskiemu Janowi, Siedleczce Michałowi, Stachyrakowi Wojciechowi, Stopie Błażejowi, Sworzeńskiemu Emilowi i Turkowskiemu Maurycemu; nadto subdjakonatu alumnowi Wolskiemu Janowi, djakonatu Stanisławowi Pykoszowi i Maksymiljanowi Kohlsdorferowi T. J., a djakonatu i presbyteratu Romualdowi Koppensowi T. J.

Dyecezja tarnowska: Instytuowany na probostwo w Podolu ks. Paweł Wołek. — Przeniesieni księża: Tomasz Stolarczyk z Podola do Podgórskiej Woli, Leon Miętus z Borowej do Nockowej i Adam Bryl do Borowej. — Rekolekcje kapłańskie odbędą się w tym roku: w Tarnowie od 14—18 września, w Szczyrzycu od 21—25 września.

Z Jaworzna piszą do nas: W niedzielę dnia 2 b. m. jaworznickie gniazdo sokolskie, w uroczej, trzy kilometry od siedziby odległej, wśród gęstego, ciężkowickiego boru położonej, zwanej Wilkoszynem miejscowości, rzeczywiście wspaniałą urządziło zabawę letnią. Najcharakterystyczniejszym, a afekt najwięcej wzbudzającym punktem programu były ćwiczenia gimnastyczne wogóle, a w szczególności ćwiczenia na koniu, poręczkach, gonitwy z przeszkodami, piramidy, czem sprawom tutejszego gniazda z poświęceniem oddany, druch, instruktor Bolesław Wawecki z taktem i precyzją kierował. Choć krótką, ale wesołą chwilę wypoczynku urozmaiciła z 13-tu członków się składająca, a świeżo założona miejscowa, na wzór krakowskiej muzyki umundurowana orkiestra, którą dotąd kieruje p. Michał Wąsowicz, przy dźwiękach której bawiono się ochoczo i wesoło do godz. 11 w nocy, poczem przy pochodniach wrócono do Jaworznia, a złożywszy prezesowi dr. Damskiemu należyte podziękowanie w ciszy i zgodzie rozeszła się drużyna sokolska do swoich domów.

Z Łęgu (pow. Tarnów) piszą do nas: Dnia 19 lipca b. r. po południu, zgromadzili się licznie mieszkańcy Łęgu ad Partyń w powiecie Tarnowskim w miejscowej szkole, celem założenia Kółka rolniczego. O godzinie 6 przybył z Tarnowa ks. dr Zygnliński, miejscowy proboszcz ks. Józef Czernecki, miejscowy rządca p. Antoni Sulczewski, okoliczne nauczycielstwo oraz dwaj panowie z Tarnowa. Sala szkolna, pomimo że obszerna, szczelnie się zapełniła. Ks. dr Zyguliński otworzył posiedzenie staropolskiemi słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Następnie przemówił do zgromadzonych ciepło i serdecznie, wskazał cel Kółek rolniczych, do czego one

prowadzą, przedstawił za wzór Poznańskie, odczytał statut objaśniając każdy paragraf a następnie w słowach podniosłych zachęcił zgromadzonych do założenia Kółka rolniczego. P. Michał Kronenberg podał za wzór Kółko rolnicze w Królówce, gdzie jako nauczyciel przez 5 lat pracował i brał czynny udział jako sekretarz tamtejszego Kółka rolniczego.

Po tych przemowach zapisało się 45 gospodarzy do Kółka rolniczego; wybrano Zarząd i ustanowiono wkładkę miesięczną po 10 ct. Po ukonstytuowaniu się Zarządu przemówił jeszcze ks. proboszcz, zakończając swe przemówienie słowami: „Aby nam Pan Bóg w tej uczciwej pracy udzielał swego błogosławieństwa“. Następnie wśród miłej pogawędki zgromadzeni księża, goście miastowi i wieśniacy przepędzili kilka chwil, a rozchodząc się do domów, unieśli z sobą to błogie uczucie, że z nowo założonem Kółkiem zabłysła dla Łęgu i lepsza dola, co daj Boże, aby się wkrótce spełniło. Przy sposobności miło zaznaczyć, że Łęg ad Partyń, to jedna z najwzorowszych gmin w powiecie Tarnowskim, dzięki staraniom miejscowego wójta p. Stanisława Michalika i miejscowego ks. proboszcza, który doszczętnie pijaństwo wytępił. *J. D.*

Z Mikluszowic (koło Bochni) piszą da nas pod datą 5 bm.: We środę dnia 5 sierpnia b. r., jako w 124-tą rocznicę pierwszego rozbioru Polski, a 32-gą rocznicę śmierci 5 członków „Rządu narodowego“ w powstaniu styczniowem: Romualda Trauguta, Krajewskiego, Zulińskiego, Toczyńskiego i Jeziorańskiego, pomordowanych okrutnie przez Moskali w tym dniu 1864 r. na stoku cytadeli warszawskiej, odbyło się za spokój dusz tych męczenników i uproszenie lepszej doli dla biednej Ojczyzny uroczyste żałobne nabożeństwo w kościele tutejszym z inicjatywy miejscowej młodzieży polskiej, przybyłej z szkół gimn. do swych rodzinnych domów na wakacje. Ustawiony na środku kościoła katafalk, przystrojony w wieńce z zieleni, na nim trumna wsparta na bagnetach karabinów, na przodzie tejże skrzyżowane szable, z tyłu kosy. Katafalk ozdobiono obrazami, między któremi widniał orzeł polski, przypominał smutną i zarazem rzewną chwilę dziejów naszych, to też niejednemu w licznie zebranych na nabożeństwo tak włościan, jakoteż i okolicznej dworskiej inteligencji wycisnął cichą łzę ów wielce wzruszający symbol. Nabożeństwo celebrował czcigodny ks. kan. H. Rampelt, proboszcz miejsc. zupełnie bezinteresownie. Podczas mszy św. chór złożony z młodzieży przy współudziale miejscowego kierownika szkoły p. J. Wróblewskiego, odśpiewał: na Introit „Requiem“ Seylera Emol, na Graduale „Dies irae“ tegoż autora Emol z mszy nr 3, na Offertorium „W ciężkiej niedoli“ Moniuszki, na Sanctus „Boże Ojcze my Twe dzieci“, po Podniesieniu „Benedictus“ i „Agnus Dei“ z pierwszego Requiem Emol. Po mszy św. celebrant z kapłanami wikarjuszami odśpiewał kondukt: „Libera me“ i „Salve“, poczem chór wraz z ludem odśpiewał „Boże coś Polskę“.

Nabożeństwo to bardzo silne wrażenie wywarło na obecnych, a młodzież tutejsza, kształcąca się w szkołach, która postarała się o uczczenie pamiątki historycznej, złożyła dowód patrjotyzmu.

Cło od adresu. Jak wiadomo, Rusini galicyjscy wysłali do Ojca św. adres z podziękowaniem za nadanie metropolicie Sembratowiczowi godności kardynała. Adres ten nader pięknie wykonał ks. Tupiś, robiąc z niego prawdziwe cacko artystyczne. Ks. Tupisiowi przypadło także w udziale zawieść ów adres do Rzymu, w czasie podróży jednak musiał na komorze celnej włoskiej zupełnie nieprawnie zapłacić 20 lir cła. Nie mogąc dla braku znajomości języka włoskiego rozprawić się z niegodziwym urzędnikiem, zniewolony był poddać się bezprawiu.

Z Brodów piszą: Wycieczki oraz zabawy na stawku Sokołów udają się świetnie. Codziennie widzimy sporo czółen i czajek, unoszących młodzież i starszych po spokojnych falach stawku. Szczególne względy publiczności dla Sokolstwa, dobra zabawa na łódkach, wreszcie zawsze udające się wycieczki, skłoniły wydział do tego, iż poczęto rokowania z dyrekcją kolei o nabycie stawku na własność. Sprawa ma się chylić na korzyść Sokołów. — Temi dniami przybył do nas impressarjo Emil Goblers ze swoją trupą, a raczej bandą, celem urządzenia wielkiego, internacjonalnego przedstawienia specjalności à la Ronacher. Porozlepiawszy kolosalne ogłoszenia i szumne afisze, zaintrygował publiczność naszą do tego stopnia, że mimo 30 stopniowego gorąca salę Tow. muzycznego po brzegi zapełniła, (bo publiczność składała się po największej części z potomków Izraela, a była i garstka i naszych ciekawych, mimo wygórowanych cen). Zaraz początek produkcyj przekonywał zebranych, że to jacyś bezczelni wycbwytacze ściągnęli publiczność, aby ją ukarać za zbytnią ciekawość. Ciąg dalszy tychże, wykonywany po większej części przez dzieci (do tego ułomne) t. zw. „akrobatów miniaturowych“, znudził i zmęczył do tego stopnia, że widzowie, oburzeni blagą, po jednemu opuszczali salę. Podobne produkcje zachwyciłby mogły ciekawą gawiedź na jarmarku, albo na odpustach a nie publiczność miastową. — Do rubryki: „Zawsze oni“, dorzucam jeden fakt z bruku brodzkiego: Niedawniej, jak przed kilku może tygodniami, przybył do Brodów nieukończony gimnazjalista z Rosji, Adolf Horowitz, któremu ciekawym sposobem udało się poznać p. Sarę H. i odwiedzać dom jej rodziców. Snać lgnęły oba serca do siebie, a stosunek potęgował się tembardziej, kiedy Adolf uszczęśliwionej Sarze czynił zwierzenia i odkrywał plany przyszłości, mówiąc, że jedynie przed wojskiem opuścił Rosję, że tu myśli kończyć gimnazjum, następnie poświęcić się teologji, a zostawszy rabinem, z nią się ożenić. Sarze podobały się takie plany, a będąc już z Horowitzem po słowie, wtajemniczyła go w stosunki familijne... w końcu odkryła mu dłań najważniejszą tajemnicę... schowane w szafie pieniądze. Odtąd czułość kochanka nie miała granic. W czasie rozkosznych *tête à tête*, zdołał pewnego razu Horowitz tak zręcznie zamanipulować koło szafy ojca panny, że z tajemniczej skrytki wyciągnął 200 złr. Na drugi dzień kiedy Holzowie spostrzegli brak monety, skierowali swe podejrzenie przeciw narzeczonemu. Wszelkie jednak poszukiwania przyszłego zięcia pozostały bez skutku, doprowadzając w końcu do zwierzenia się policji z prośbą o pomoc. Na energicznie zarządzone śledztwo udało się policji wpaść na trop adonisa i wyszukać go aż w Podwołoczyskach, ale tylko z resztą pieniędzy. Przyjemnego kochanka przywieziono wczoraj do Brodów i odstawiono do aresztów sądowych, gdzie dumać będzie mógł spokojnie nad wcześnie rozwchianem małżeństwie.

Katastrofa w Brüx. Z okręgu górniczego w Brüx nadszedł następujący telegram: Wczoraj o godzinie 2 w nocy runęły, wskutek usunięcia się ziemi, dwa domy. W kilku domach zarysowały się ściany. Rusztowania w szybie św. Anny zbadano i nie znaleziono żadnych zmian. Szyby państwowe, według telefonicznych doniesień, są również nieuszkodzone. Obecnie w obsuwaniu się nastąpiła, o ile można zbadać, tymczasowa przerwa. Ludność, prócz dotkniętych wypadkiem, zachowuje się spokojnie. Ruch kolejowy jest przez przesiadanie się podróżnych umożliwiony. Według dotychczasowych doniesień, nikt nie odniósł uszkodzenia.

Powodzie. *Fremdenblatt* donosi, że północne dzielnice Gracu stoją pod wodą. Mieszkańcy, zbudzeni ze snu, z przerażeniem opuszczali domy. — W parku hrabiny Hartenau runęła jednopiętrowa wozownia. Ogólne szkody są ogromne.

O powodziach nadchodzą wiadomości z Trenczyna, Cieplic, całych Węgier i Pobrzeża. W Briaul i Mohaczu srożyły się straszliwe arkany. — W pobliżu Baja zatopiła woda pięć młynów na Dunaju.

Z Cieplic-Trenczyna telegrafują: Po sześciogodzinnej nieustannej ulewie wystąpiła Tepla z brzegów i wyrządziła liczne szkody, lecz tylko w miejscach niżej położonych. Komunikacja nie jest przerwana; kąpiele nie są uszkodzone.

Posen-Poznań! Przed najwyższym trybunałem w Lipsku toczył się proces, wytoczony przez urząd pocztowy w Wieleniu księdzu proboszczowi Stanisławowi Góreckiemu w Rosku pod Wieleniem. Ks. G. oskarżony był o obrazę, ale sąd ziemiański w Pile uznał go niewinnym. Sprawa przedstawia się, jak następuje: Ks. G. wysłał list do kancelarji arcybiskupiej w Poznaniu, adresując tylko po polsku „w Poznaniu“. Urząd pocztowy w Wieluniu przekreślił adres i odesłał list ks. G. z powrotem, zapytując „dokąd?“ Ponieważ opóźnienienie się listu nie było ks. G. na rękę, więc bezzwłocznie wystosował zażalenie do rzeczonego urzędu, zapytując o powód odesłania listu. „W urzędowym spisie poczty — wywodził ks. G. — napisano wyraźnie, że „Poznań“ a „Posen to jedna miejscowość, zaś „in Posen“ znaczy „w Poznaniu“. Czyżby tedy przypuścić można, pisał ks. G., że poczta, która zna wszystkie nazwy miejscowości w Kamerunie, nie zna nazw miejscowości w Niemczech? Nad taką ignorancją należałoby ubolewać i byłaby ona niezrozumiałą. Zresztą nie rorozumiem, dlaczego dziś doszedł mnie list adresowany do Rosca, choć mieszkam w Rosku“. Ironicznym tonem listu i wyrażeniami „Es“ i „Hochdasselbe“ dotknięty urząd pocztowy podał skargę na księdza proboszcza G. Sąd ziemiański uznał, że ks. G. działał w obronie uprawnionych interesów i uwolnił go od winy. Przeciwko temu wyrokowi założyła prokuratorja rewizję, ale trybunał Rzeszy odrzucił rewizję, podnosząc, że ks. G. wystąpił przeciwko istotnym nieprawidłowościom.

W Cieplicach ostatnia lista gości wykazuje osób 3.424.

Niezwykła przygoda spotkała kilka dni temu p. M. J., obywatelkę ziemską w okolicy pogranicznej niemieckiej. Powracając z Hamburga, gdzie p. J. ma krewnych, na jednej ze stacji między Berlinem a Aleksandrowem wszedł do przedziału, gdzie siedziała, przyzwoicie ubrany jakiś mężczyzna z dziecięciem na ręku.

— Może pani raczy sekundę dziecka dopilnować — zwrócił się pospiesznie, lecz nader uprzejmie do p. J. — pospieszę tylko pomódz żonie w przeniesieniu drobnych pakunków, gdyż nie ma dużo czasu.

Posadziwszy dziecię, nieznajomy szybko wyskoczył i pobiegł w stronę stacji.

Po chwili pociąg wyruszył i p. J. pozostała w wagonie z dzieckiem. Po przybyciu do Torunia bezzwłocznie zatelegrafowano do odnośnej stacji, odpowiedź jednak opiewała, iż nikt tam o żadnem zgubionem dziecku wiadomości nie otrzymał. Litując się nad maleństwem, p. J. zabrała takowe tymczasem ze sobą. Od owej chwili upłynęło dni 10, nikt się jednak dotychczas nie zgłosił po ładną dziewczyneczkę, którą zacna p. J. troskliwie w domu swym pielęgnuje.

Z Berlina piszą: Teatr Lessinga, na którego scenie dotąd rozbrzmiewały wesołe melodje operetkowe trupy Ferenczy'ego, rozpoczął w sobotę sezon wystawieniem czteroaktowej komedji Oskara Waltera i Leona Steina, p. t. „Panna-doktór“, przedstawianej już z wielkiem powodzeniem w Hamburgu i Lipsku. Jednocześnie z teatrem Lessinga rozwarły swe podwoje teatr pod Lipami, który wystawił „Króla Chilperyka“, z nową obsadą w partjach solowych baletowych, oraz teatr Centralny, próbujący ponownie szczęścia „Nocą szaloną“, która doczekała się dotąd już 254 przedstawień, a prawdopodobnie dociągnie i do trzeciej setki. Teatry: Nowy, Residenz, Schillera i Adolfa Ernsta, z uwagi na wystawę, wcale nie zawiesiły przedstawień.

Na wystawie w dziale Kairu starożytnik, dr Ohnefalsch Richter, ciekawą urządził wystawę starożytności rozmaitych, przez niego wykopanych od r. 1878 na Cyprze, w Azji Mniejszej, Syrji i Egipcie, wykazujących w ogólnych zarysach rozwój cywilizacji w ciągu lat 4.000. Lampki najrozmaitszych form i kształtów, wazy zaśniedziałe, mosiężne posążki mniej lub więcej artystycznie wykonane Apisa, Astarty, różne biusty marmurowe i ich odłamki składają się razem na cenną i interesującą w wysokim stopniu kolekcję. — Koła dobrze poinformowane zapewniają wiadomości, jakoby rząd nosił się z myślą urządzenia w kolonjach niemieckich misyj deportacyjnych, na wzór francuskich w Cayenne i w Nowej Kaledonji. — Profesor doktor Röntgen otrzymał order korony klasy drugiej.

Z Paryża piszą: Żyjący jeszcze uczestnicy rewolucji ulicznej w Paryżu w dni lipcowe 1830 roku, która obaliła tron starszej linji Burbonów, mają zwyczaj zbierać się rok rocznie u stóp Kolumny Lipcowej, wzniesionej na placu Bastyiji. W tym roku stawił się do apelu już jeden tylko, Piotr Lourdereau, starzec 92 letni, reszta pomarła. Przybył on w otoczeniu całej swej rodziny, oraz swych towarzyszy, którzy postanowili zawiązać stowarzyszenie, w celu stałego obchodzenia rocznicy lipcowej, przekazanej im przez ojców.

Aresztowano na ulicy niejakiego Zimmermanna, który sprzedawał szwarcowane zapałki zagraniczne. Okazało się, że winowajca okryty łachmanami, jest kawalerem Legji honorowej, którą otrzymał za odwagę podczas wojny w r. 1870 i że ostateczna nędza popchnęła go do procederu kontrabandzisty.

Po raz pierwszy od kilku stuleci przyjął Watykan do wiadomości zaślubiny w angielskiej rodzinie królewskiej. Papież Leon XIII przesłał księżniczce Maud, jako podarek ślubny złotą bransoletę, starym stylem wyrabianą i ozdobioną cenną kameą, do daru było dołączone pismo z błogosławieństwem Ojca św. — List ten miał wywrzeć na królowej głębokie wrażenie.

Sobowtóry. Jeden z dzienników angielskich podaje nader zajmującą notatkę o sobowtórach królowej Wiktorji i księcia Walji. Sobowtórem królowej jest — żebraczka, od wielu lat zarabiająca na życie otwieraniem pobożnym wrót kościelnych. Osobliwość rzadką stanowi tu nietylko wprost uderzające podobieństwo, lecz nadto i to, iż wiek królowej i żebraczki zgadza się oniemal co do dnia, a nadto, że jedna i druga w tymże samym roku owdowiały. Książę Walji posiada aż dwóch wiadomych sobowtórów. Jednego z nich — należącego do najbogatszych i najbardziej szanowanych kupców „City“, podobieństwo to zaprowadziło aż do Bedlam — domu warjatów! Powoli bowiem począł sobie wmawiać, iż on to jest rzeczywistym następcą tronu angielskiego, książę Walji zaś uzurpatorem, zagrabiającym jego prawa! Pewnego też dnia dostał się do pałacu Sandringham i to bez wielkich trudności, gdyż wszyscy, poczawszy od straży, i służby aż do szambelanów, brali go za rzeczywistego księcia. Warta prezentowała broń, lokaje składali pokłony, pierwszy kamerdyner tylko skamieniał z przerażenia, gdy książę którego tylko co pozostawił w pokoju za sobą, ukazał mu się nagle z innej zupełnie strony. W tej samej chwili otwarły się drzwi gabinetu i prawdziwy książę ukazał się w nich! Finałem sceny, jak już podaliśmy wyżej, był — dom obłąkanych. Sławniejszym jeszcze sobowtórem księcia Walji, był służący w Kalkucie w armji indyjskiej żołnierz, przydany do tej kompanji księcia podczas indyjskiej jego podróży. Człowiek tak szalenie podobny, zwrócił, naturalnie, uwagę księcia, który szczegółowo chciał poznać jego pochodzenie i stosunki rodzinne. Przy tej sposobności wydał się fakt osobliwy: Sobowtór — wprawdzie również jak i ojciec jego, urodzeni byli już w Indjach, dziad jednak, mechanik, pochodzenia z Hanoweru, często wspominał o pokrewieństwie z Jerzym II, bez możności jednak udowodnienia takowego. W osobie wnuka ujawnił się nareszcie jak najwyraźniejszy dowód słuszności praw starego, dawno zmarłego bie-

daka. Obecnie sobowtór jest pułkownikiem swego pułku. Nosi on ogólnie miano „fałszywego księcia". Do powyższej notatki dodajemy jeszcze, iż sędziwy cesarz Wilhelm I. niemiecki, posiadał również sobowtóra w konsulu niemieckim w Trjeście — baronie Lutteroth. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w temże samem mieście żył jeszcze i sobowtór drugiej głowy ukoronowanej, króla włoskiego Wiktora Emanuela.

Sobowtórem tym był zacny majster szwecki, na szyldzie ktorego można też było wyczytać wielkiemi literami: „Pod królem włoskim".

Polsko-katolicki kongres w Ameryce, jak można wywnioskować z artykułu p. Modesta Marjańskiego w chicagowskiej *Gazecie katolickiej* nie przyjdzie prawdopodobnie do skutku. Przyczyna tego nieszczęsna niezgoda, nieszczęsne zaściankowe ambicje i ambicyjki. P. Marjański żali się mianowicie na brak zgody i solidarności wśród duchowieństwa katolickiego w Ameryce, któremu przedewszystkiem brak zwierzchnika Polaka. Polacy-katolicy Ameryki — pisze p. Marjański — mają prawo zanieść do Stolicy apostolskiej najpokorniejszą prośbę, aby w tych dyecezjach, gdzie Polaków katolików jest dużo, biskupi nauczyli się języka polskiego, a w razie, gdyby to dla nich za wielkie trudności sprawiać miało, aby dobrali sobie do pomocy sufraganów biskupów Polaków i aby w przyszłości biskupami takich dyecezyj tylko tacy kapłani przez Stolicę apostolską bywali mianowani, którzyby język polski znali i nim władali. Dalej Polacy katolicy Ameryki mają prawo zanieść do Stolicy apostolskiej najpokorniejszą prośbę, aby po dyecezjach z mieszaną ludnością katolicką raz po raz biskupem dyecezji mianowano też i Polaka. Że taka osobistość znakomicie językiem angielskim i niemieckim władać powinna, że świecić powinna nauką, przykładem i moralnością, to rzecz naturalna, ale że są osobistości kwalifikujące się na takie stanowisko, osobistości, którym nie jest obcą ani Ameryka, ani katolicyzm amerykański, o tem wiem z pewnością. Jeżeli ci, którzy powołani są z obowiązku swego stanu i stanowiska, jakie zajmują pośród społeczeństwa naszego i tu w Ameryce i tam w Europie, nie przyłożą ręki do załatwienia tej sprawy piekącej, to niechaj na ich głowy spadnie odpowiedzialność za następstwa ich dla sprawy Polaków katolików w Ameryce oziębłości. Zgorszenia, zamiast zmniejszać się, zwiększać się będą, schizma szerzyć, lud straci poszanowanie dla władzy kościelnej i respekt przed karami kościelnemi, a nastąpi to skutkiem nie winy własnej ludu, ale winy tych, których obowiązkiem czuwać i modlić się".

Na dnie morskim. W czasie wojny krymskiej, jak wiadomo, w zatoce pod Bałakławą, podczas burzy zatonęły trzy angielskie okręty wojenne, na których znajdowały się znaczne bardzo sumy pieniężne w złocie, dotąd spoczywające na dnie morskiem. Niejednokrotnie zawiązywały się już spółki kapitalistów zagranicznych, ażeby skarby te wydobyć z wody. Żadna jednak ze spółek nie mogła pochwalić się odnalezieniem zatopionych pieniędzy. Obecnie znowuż sprawę tę poruszył niejaki p. Płastunów, mieszkaniec Odesy, który zawarł nawet umowę z radą miejską w Bałakławie, w przedmiocie wydobycia utopionych skarbów angielskich. Nadmienić tu trzeba, że projektodawca rozporządza specjalną maszyną, zbudowaną i przeznaczoną do poszukiwań na dnie morskiem. Maszyna rzeczona czynną była przy wydobywaniu zatopionego parowca „Włodzimierz" i zupełnie dobrze wywiązała się ze swego zadania.

Konkursy. Ministerstwo koleij żelaznych ogłasza: W dyrekcjach koleij żelaznych i kierownictwach budowy koleij żelaznych. będzie do obsadzenia znaczniejsza liczba posad urzędników technicznych, kolejowych i werkmistrzów. Starający się o te posady, winni wykazać: iż posiadają obywatelstwo austrjackie, nie przekroczyli 35 roku życia, posiadają dobre zdrowie, znajomość języna niemieckiego, a ewentualnie drugiego języka krajowego, świadectwo moralności, i świadectwo studjów technicznych, ewentualnie świadectwo egzaminów państwowych. Kandydaci zostaną przyjęci natychmiast i otrzymają początkowo płacę 800 złr. rocznie. Do tej płacy, obok ustanowionego dla m. Wiednia dodatku kwaterowego, przybywają jeszcze dochody uboczne, zwłaszcza przy budowach nowych koleij, tudzież ryczałt na podróże 40 złr. miesięcznie. Po półtorarocznej, zadawalniającej służbie, otrzyma kandydat najniższą płacę w IX klasie rangi w kwocie 900 złr. i kwaterowe dla Wiednia 400 złr. Awans, dla ukończonych techników, następuje co półtora roku i płaca podwyższoną zostaje każdym razem o 100 złr. — aż do wysokości 1200 złr.; nie wykluczone jest jednak uzyskanie posady inżyniera z płacą 1300 złr. i kwaterowem 500 złr. w drodze konkursu. Ukończeni technicy, posiadający pewną praktykę, mogą wyjątkowo uzyskać przyjęcie z wyższą płacą.

Podania, zaopatrzone stemplem na 50 ct., wykazem swojszczyzny, świadectwem chrztu [względnie urodzenia] tudzież świadectwem odbytych studjów technicznych wnosić należy do ministerstwa koleij żelaznych.

Z dniem otwarcia nowowybudowanych linij kolejowych Halicz-Ostrów i Tarnopol-Kopyczyńce będą obsadzone następujące posady lekarzy kolejowych: 1] w Lipnicy dolnej dla przestrzeni z Bołszowiec [exclus.] do Mieczyszczowa [excl.] z płacą roczną 350 złr.; 2] w Kozowie dla przestrzeni z Mieczyszczowa do Kozowy [excl.] z płacą 280 złr.; 3] w Kozowie dla przestrzeni z Kozowy do Ostrowa-Berezowicy [excl.] z płacą 380 złr.; 4] w Tarnopolu II dla przestrzeni z Tarnopola [excl.] do Ostrowa-Berezowicy z płacą 180 złr.; 5] w Mikulińcach dla przestrzeni z Ostrowa-Berezowicy [excl.] do Mikuliniec-Strusowa z płacą 180 złr.; 6] z Trembowli dla przestrzeni z Mikuliniec [excl.] do Dereniowa z płacą 240 złr.; 7] w Chorostkowie dla przestrzeni z Mszańca [excl.] do Kopyczyniec-Rudki z płacą 180 złr.; 8] w Kopyczyńcach dla przestrzeni z Kopyczyniec-Rudki [excl.] do Kopyczyniec, tudzież od klm. 122·9 do klm. 128·3 linji kolejowej Stanisławów-Husiatyn z płacą 226 złr. Podania do 1 września br. do dyrekcji kolei państwowej w Stanisławowie.

(*Gazeta lwowska* nr. 181).

Składki na Wawel. (Dokończenie). Baum majster kominiarski 50 ct., prof Sternbach 5 złr., za pośrednictwem „Głosu Narodu" 5 złr. 55 ct., nadradczyni Mischke z Wieliczki 30 złr. 64 ct., Marja Kraupe z Wieliczki 8 złr. 19 ct., markami 1 złr. 18 ct. za pośrednictwem prof. Browiczowej, dr Chwistek z Zakopanego 3 złr. 33 ct., za pośrednictwem „Nowej Reformy" 16 złr., p. Filipina Brandtowa z Mielca 15 złr. 30 ct., hr. Pusłowski 5 złr., Wenzel 2 złr. 30 ct., pna Marylka Estreicher 21 złr. 24 ct., w tej sumie mieści się z Tow. sztuk pięknych od p. Zefiryna Bieleckiego 12 złr. 60 ct., p. Grabski z Goluchowa 5 złr. 85 ct., Teofila Szumlańska ze Lwowa r. p. 14 złr. 13 ct., Władysław Adamczyk prezes towarz. Sokołów zebrane w gronie uczest. III zlotu w Sanoku 5 złr. 43 ct, prof. Milewski 5 złr., pna Adela Malewicz z puszki rozbitej Wörishofen 12 marek 12 fen. czyli 7 złr. 10 ct., Klimek z muzyki 1 złr. 30 ct., Sulikowski zegarmistrz 3 złr. 60 ct

Ogólna suma składki obecnej wynosi 357 złr., która złożona została do kasy oszczędności m. Krakowa na książeczki Nr. 145.673 i 155.455.

Całość zaś dotąd uzbieranej składki wynosi 27.360 złr.

Następnie rozbicie puszek odbędzie się dnia 10 października b. r. w domu p. Ulanowskiej, przy ul. Garncarskiej l. 15 pomiędzy godziną 4 a 8 popołudniu.

Teatr, Literatura i Sztuka.

Ogródki warszawskie.

Ogródki warszawskie, czyli tak zwane letnie teatry, słynęły kiedyś w Warszawie z ożywienia repertuaru, z dobrych aktorów, a niejednokrotnie nawet rumieńcem wstydu oblewały oblicze swej poważnej, dorodnej siostrzycy, rządowego teatru Rozmaitości. Wszak te ogródki dały nam „Damazego", „Rozbitków" i tyle, tyle sztuk wybitnych, do dziś dnia przyświecających repertuarowi teatrów stałych. Prawda, że wówczas i dyrektorzy prowincjonalni, czasy ś. p. Doroszyńskiego, mieli inne aspiracje niż dzisiejsi, inne poczucie obowiązków, inna wówczas była młódź aktorska, inna wreszcie publiczność. „Piwo zepsuło smak u dyrektorów i u publiczności" wyraził się jeden z humorystów warszawskich. Miał poniekąd rację. Dawniej wynajmywano restaurację w teatrze, dziś oddaje się w najem teatr w restauracji. Dawniej trzymano jadłodajnie w teatrze jedynie dla tego, że są osoby, które w antraktach potrzebują odświeżyć swe gardło, dzisiaj jadłodajnia wynajmuje aktorów, aby goście restauracyjni nie nudzili się podczas jedzenia.

Tak postawiona kwestja musiała wpłynąć na obniżenie wartości trup prowincjonalnych. Restauratorowi (bo ten jest i właścicielem scenki), nie idzie ani o dobrych aktorów (piękne aktorki są pożądane). ani o repertuar szlachetny (tego bowiem trzeba słuchać ze skupieniem ducha, a wówczas goście mało jedzą i piją), jemu idzie o atrakcję dla garkuchni. Jak najwięcej sensacji, ale żeby ta jak najtaniej kosztowała. Tandeta, blichtr wżarły się w organizm teatrów ogródkowych. „Furda wszystko — piwo grunt", oto dewiza, której hołdowano jeszcze do roku przeszłego.

Wszystko musi się znudzić, nawet piwo (sentencja dosyć dziwaczna, jak dla Krakowa, (*prz. zecera*). Znudziły się w Warszawie ogródki z piwem, szampanem, kręgielnią, befsztykiem, gabinetami i teatrem. Prasa zaczęła wołać pełnym głosem: restauracji i tak nam nie brakuje, według bowiem statystycznego zestawienia piękny gród Syreni liczy przybytków Gambrynusa 15.000 niespełna, teatrów nam letnich potrzeba! Nawoływania odniosły skutek, w przeszłym roku Warszawa ujrzała dwa ogródki, choć w części zreorganizowane: teatr Wodewil i Belle-vue. W pierwszym rządził Michał Wołowski, w drugim Feliks Kwaśniewski, obaj z fachu dziennikarsko-literackiego. Zaczęta pomyślnie „reperacja" scenek letnich ubiegłego lata, trwa dalej w bieżącym sezonie. Repertuar ogródkowy ożywił się znacznie, podniósł, wyszlachetnił. Nie ma niemal tygodnia, aby który z ogródków, jest ich trzy: Wodewil, Belle-vue i gmach pocyrkowy — nie dał sztuki, któraby nie zainteresowała publiczności inteligentnej, szukającej w teatrze wrażeń trwalszych, niż je dać może refren kupletu operetkowego.

Dość powiedzieć, że Warszawa słyszała tego lata ze scen ogródkowych: Szekspira („Komedja pomyłek"), Zalewskiego, Korzeniowskiego, Sudermanna, Ruszkowskiego, Przybylskiego i Klemensa Junoszę, Bałuckiego. W ostatnich dniach wystawiono n. p. dwa utwory, które nie mało wrzawy w Warszawie wywołały. Oba pióra początkujących autorów — oba zapowiadające niezwykłe talenty. Pierwszym był młodzieniec 22-letni hr. Ronikier, drugim, aktor z zawodu Jan Szutkiewicz. „Nieszczęśliwi" Ronikiera, pomimo swego brudnego wprost chorobliwego tematu (lekarz zabija przy operacji męża swej kochanki) przynoszą siłę młodzieńczą, zapał — wytworność stylu i niemałe odczucie sceny.

P. Szutkiewicz w „Popychadle" przenosi widza w sfery mieszczańskie, o kolorycie pogodnym, jasnym, o typach, jakby z marmuru rzeźbionych, a wszystkich takich oryginalnych, tak naszych z krwi i kości! Takiego entuzjazmu — pisze *Dziennik dla Wszystkich* — jaki panował w gmachu pocyrkowym na „Popychadle" dawno nie widzieliśmy. P. Szutkiewicz wystąpił odrazu w całej pełni swego talentu, a przeprowadzeniem akcji, oryginalnością tematu, plastyką charakterów i budową techniczną wyśmienitą, sztuka jego zdobyła sobie pierwszorzędne miejsce wśród sztuk ludowych mieszczańskich. „Popychadło" opowiada dzieje dziewczęcia, tyranizowanego przez macochę. Zatrzymaliśmy się cokolwiek dłużej przy utworach młodych autorów — w tym celu, aby wykazać jedną więcej dodatnią cechę odrodzenia się ogródków: promowanie młodych sił pisarskich. Naturalnie i w tem miara być winna. Promować tylko takie pióra, które na to zasługują. Tym razem wybór, jak widzimy, był właściwy. Tak dalej a znikną restauracje z teatrem, zakwitną natomiast teatry letnie! *Minos.*

---

* Dzisiaj w teatrze miejskim „Rigoletto", opera Verdiego z pp. Klamrzyńską i Myszugą. We wtorek, dnia 11 b. m., zamiast „Lunatyczki" daną będzie na ogólne żądanie „Łucja" z pp. Klamrzyńską i Myszugą. Będzie to zarazem ostatni występ p. Klamrzyńskiej, która partją Łucji w piątkowem przedstawieniu publiczność naszą w niebywały wprowadziła zachwyt, to samo da się powiedzieć o p. Myszudze, jako Edgarze. Partja Gildy w „Rigoletto" jest wspaniałą kreacją p. Klamrzyńskiej, a dla osobliwych miłośników techniki śpiewackiej nie od rzeczy będzie wspomnieć o sławnym trylu p. Klamrzyńskiej, którym w partji Gildy (w trzecim akcie) w zdumienie wprowadza słuchaczów. Na czwartek repertuar zapowiada „Martę", op. Flotowa, z pp. Myszugą, jako Lyonelon i p. Korolewicz, jako Martą.

Repertoar teatru miejskiego. Dziś dnia 9 sierpnia „Rigoletto", op. Verdiego. We wtorek dnia 11 sierpnia „Łucja". We czwartek dnia 13 sierpnia „Marta", op. Flotowa.

HUMOR

MONOLOGI SCHMEIGELESA.

VI.

Hinda to jest czocza szósta,
Także sobie bardzo tłusta,
Bardzo gruba, bardzo stara,
Taka brzidka, jak poczwara.
Głowę to ma ogoloną,
Piękną bindą ozdobioną.
Handluje z wiktuałami.
Chodżi cządle tu po mieszcie
Z bobem i makagigami.
Konfitury piecze w czeszcie,
Różne ma delikatesy,
Cukry, czasta i lodesy.
W domu zawsze jest zajęta,
Cządle piecze i gotuje,
U niej niema nigdy szwęta,
A że bardzo transpiruje,
To do czastek, które piecze,
Pot jej z nosa czasem czecze.
Trzech już mężów pochowała,
Lecz sze zawsze poczeszyła,
Czwartego męża dostała,
Tylko trzy dni — wdowa była.
Dżeci ma aż pietnaszczoro,
Wnuków, wnucząt także sporo.

OSTATNIA POCZTA.

= Z Konstantynopola donosi biuro korespondencyjne: Komendantem wojsk, przeznaczonych na stłumienie powstania w Macedonji, mianowany został jenerał brygady Izmaił. Minister wojny, za poradą oficerów zagranicznych, wniósł utworzenie bataljonów żandarmerji po 1,000 żołnierzy. Bataljony te składają się z doborowych żołnierzy, pochodzących z wilajetów Monastyr, Saloniki i Kossowo. Żandarmerja ma pełnić służbę rekonesansową. Projekt powyższy ministra wojny został zatwierdzony i już obecnie jest wprowadzony w życie.

Przez posiłki, nadeszłe z prowincyj północnych, jakoteż przez powołanie rezerwy, siły wojskowe w zagrożonych wilajetach Argryocastro, Monastyr i Saloniki i aż do granicy greckiej, zostały wzmocnione do 20 bataljonów linjowych, 10 bataljonów redyfów, 27 bateryj i dziesięciu szwadronów konnicy. Armja ta uważana jest za dostateczną do stłumienia rozruchów, choćby przybrały jeszcze większe rozmiary.

= Ajencja bałkańska donosi: Z powodu zajść na granicy turecko-bułgarskiej, otrzymał rząd bułgarski w ostatnich dniach notę, zawiadamiającą, że na granicy skoncentrowane zostało wojsko tureckie dla ochrony ludności nadgranicznej przed napadami mnożących się band rozbójniczych. Nota dodaje, że ponieważ oddziały często się zmieniają, oficerowie nie znają dokładnie linji granicy. Zofijskie koła rządowe uważają oświadczenie to za niedostateczne, a nadto podnoszą okoliczność, że Bułgarja od dłuższego czasu nalega na rząd turecki, aby za wzajemnem porozumieniem, oznaczyć stanowczo granicę i przeprowadzić linję demarkacyjną. Dotychczas jednak, dodaje Ajencja bałkańska, rząd turecki zwlekał uregulowanie tej kwestji.

= *Nowa Reforma* podaje wiadomość, że w Galicji podczas najbliższych wyborów do Rady państwa ma być zaprowadzony mały stan oblężenia, t. j. że ma być ograniczona wolność stowarzyszeń i prasy. Wiadomość ta jest najoczywistszą sierpniową kaczką.

= Donoszą do *Czasu*: O szczegółach podróży cesarza rosyjskiego dotychczas niema żadnych wiadomości autentycznych, wszystko trzymane jest w największej tajemnicy, tak, że w kołach dyplomatycznych nawet nie wiedzą, którędy car będzie jachał, kiedy i gdzie pojedzie. Pewnym jest tylko dzień przyjazdu do Wiednia i to, że ze wszystkich dworów najpierw przybędzie car na dwór wiedeński. Pierwotny plan podróży, zdaje się, był odmienny. Ze strony dosyć dobrze poinformowanej utrzymują, że pierwotnie istniał zamiar odwiedzenia naprzód dworu duńskiego i odbycia podróży morzem do Kopenhagi, następnie odwiedzenia Berlina, Darmstadu, i Wiednia. Z powrotem miał car zatrzymać się w Królestwie Polskiem, dłuższy czas w Spale. Nie było nic wiadomem, czy car wstąpi do Warszawy lub nie, ale to było pewnem, że czyniono przygotowania na dłuższy pobyt w miesiącu wrześniu w Spale. Obecnie zaszły zmiany. Zdaje się, że car zatrzyma się, jadąc do Wiednia, tylko w Kijowie i stamtąd koleją nadwiślańską, a następnie iwangrodzko-dąbrowską, nie zatrzymując się nigdzie, pojedzie wprost do Wiednia.

Z Wiednia cesarstwo oboje mają się udać do Darmstadtu. Czy i kiedy z Darmstadtu pojedzie car do Berlina, zupełnie niewiadomo. Natomiast w ostatniej chwili stwierdza się wiadomość, która z początku wydawała się nieprawdopodobną, że około połowy września pojedzie car do Paryża. Pierwotnie w wątpliwość podawano, czy wogóle cesarz rosyjski pojedzie gdziekolwiek do Francji i nawet nie chciano wierzyć w to, aby się spotkał z prezydentem Faurem, w jakiemś miejscu portowem. Podróż cara do Paryża będzie faktem ogromnej doniosłości politycznej. Mówią także, że z Paryża ma car pojechać do Londynu, co jednak należy przyjmować dotyczas tylko jako pogłoskę. W takim razie z Londynu drogą morską powróciłby car do Petersburga.

O wstąpieniu do Królestwa Polskiego z powrotem, zdaje się, mowy nie ma. Dowiadujemy się także skąd inąd, że przygotowania, w Spale czynione, zaniechane zostały.

Telegramy

własne „Głosu Narodu“.

Berlin 8 sierpnia (w południu). Bohaterem odkrytego nowego skandalu kolonjalnego jest w istocie były gubernator niemiecki w Togo, a obecnie w Kamerunie, von Puttkamer. Za oskarżyciela uchodzi v. Stetten. Pierwszą wiadomość o odkryciu sprawy podała wychodząca w Chicago gazeta niemiecka *Der Westen;* dokumenty posiada między innymi także dziennikarz Giesebrecht, który zasłużył się odkryciem nadużyć Leista i Wehlana.

Monachjum 8 sierpnia (rano). Międzynarodowy kongres psychologów odbył wczoraj pod przewodnictwem prof. Exnera z Wiednia ostatnie pełne posiedzenie. Najpierw przemawiał prof. Brentano, a po nim Elbinghaus, Janet i Lipps. Następnie zamknął prezes prof. Stumpf kongres. Następny odbędzie się w r. 1900 w Paryżu pod przewodnictwem prof. Ribota.

Paryż 8 sierpnia (w południe). *Figaro* zamieszcza gwałtowny artykuł przeciw hr. Gołuchowskiemu za projekt blokady Krety. Byłoby to przyłożeniem zapałki do beczki, napełnionej prochem. Lord Salisbury wyrządza wielką przysługę Europie, udaremniając tę awanturę.

Rzym 8 sierpnia (w południe). Opozycyjny dziennik *Roma* podaje z Afryki wiadomość o gotowaniu się negusa Menelika na nową wyprawę, którą tenże ma rzekomo odbyć w jesieni. Rząd miał być uwiadomiony o tajemnych naradach Menelika z jego wodzami przez majora Nerazziniego i dlatego to jen. Baldissera miał zostać telegraficznie powołany do Rzymu. Nie można dziś stanowczo orzec, o ile wiadomość ta jest wiarygodną. Jenerał Baldissera przybył tu wczoraj rzeczywiście i odbył dłuższą naradę z ministrem wojny.

Rzym 8 sierpnia (w południe). Nadeszły tu raport konsula włoskiego w Zürychu przypisuje zeszłotygodniowe gwałtowne manifestacje, wymierzone przeciw robotnikom włoskim, trwającym oddawna nurtowaniom socjalistów niemieckich, którzy prześladują Włochów za to, że nie chcą poddawać się ich wpływowi. Pożałowania godnym zajściom można było zapobiedz, gdyby władze w Zürychu rozwinęły odrazu należytą energję.

Madryt 8 sierpnia (w południe). Na czele jednego z dwóch oddziałów powstańczych, które odkryto i rozproszono w okolicy Walencji, stoi pensjonowany pułkownik Alvarez, drugim oddziałem dowodzi lekarz Bernardo Toledo, brat przewódcy powstania na Kubie. Pochwycone dokumenty dowodzą, że osoby, należące do rokoszu utrzymują żywą korespondencję z Ameryką. Aresztowano także kilka osób w Geronie.

Ateny 8 sierpnia (w południe). *Asty* donosi, że w Janinie wybuchł groźny bunt. Dwa pułki rezerwy wzbraniały się wyruszyć do Macedonji. Reszta załogi oblegała koszary buntowników. Wielu oficerów i żołnierzy uwięziono. Gubernator wydał rozkaz energicznego stłumienia buntu.

Ostatnie telegramy „Głosu Narodu“.

Budapeszt 9 sierpnia (rano). Z całego kraju nadchodzą straszne wiadomości o niepojętych burzach. Pod Szabadka wicher chwycił i spustoszył pociąg kolei żelaznej. Wszystkie okna w wagonach wyleciały; wicher zerwał dachy z kilku wagonów. W okolicach Szegradu i Kecskemetu szkody wynoszą trzy miljony. W Zsalobima podczas burzy pożar zniszczył 41 domów i wszystkie zbiory. W Dunafoelvar uległy spustoszeniu winnice. Czterech pasterzy zginęło pod gruzami owczarni; wydobyto tylko ich zwłoki. W Sold całe domy spływały z wodą. W Kecskemet orkan był tak silny, że nie ma w całem mieście ani jednego budynku, którego dach nie byłby albo uniesiony zupełnie albo przynajmniej bardzo znacznie uszkodzony.

Berlin 9 sierpnia (rano). Biuro Wolffa donosi: Car zapowiedział, iż z carową przybędzie do Wrocławia do cesarza niemieckiego, aby wziąć udział w manewrach, które się odbędą z początkiem września.

Brüx 9 sierpnia (rano). Przybył tu z polecenia namiestnika radca namiestnictwa, Krikawa, który stwierdził sytuację, zgodną z wczorajszemi urzędowemi sprawozdaniami. Noc upłynęła spokojnie. Dzisiaj rano rozpoczął się znowu ruch kolejowy na wszystkich linjach. Dom Glasera spalił się w nocy zupełnie. Rano zarządzono zburzenie pozostałych murów. Osoby pozbawione mieszkań pomieszczono w prywatnych domach. Usposobienie ludności spokojne. Szczególniejsze środki ostrożności dotychczas nie okazały się potrzebnemi. Starosta górniczy i wielu zawodowych górników badają w dalszym ciągu przyczyny obsunięcia się ziemi.

Belgrad 9 sierpnia (rano). Irade sułtańskie upoważnia Portę do nadania serbskiemu narodowi tych samych praw, jakich używają wszystkie inne chrześcijańskie narody.

Konstantynopol 9 sierpnia (rano). Mahometanie w sile 10,000 ludzi wtargnęli do Kandyi i wypędzili z domów chrześcijan, a między nimi także obcych poddanych. Hassan basza jest bezsilny. Konsul angielski na pokładzie okrętu wojennego odpłynął do Kanei.

Paryż 9 sierpnia (rano). *Figaro* ogłasza następujące szczegóły o podróży rosyjskiej pary cesarskiej: W dniu 13 września car z carową przybędą do Wiednia, poczem przez miesiąc odwiedzać będą Berlin, Kopenhagę i Balmoral. W pierwszej połowie września para cesarska przybędzie do Paryża.

Rzym 9 sierpnia (rano). Widoki pokojowe w kolonji Erytrejskiej zmniejszają się z każdym dniem. Menelik otrzymuje wciąż wielkie zapasy broni i ażeby zyskać na czasie, łudzi ciągle Włochów propozycjami pokoju.

Rzym 9 sierpnia (rano). Szwajcarja przyrzekła wypłacić odszkodowanie w wysokości 500.000 lirów dla Włochów, którzy ponieśli szkody podczas ostatnich ekscesów w Zürychu.

Londyn 9 sierpnia (rano). Krąży pogłoska, że Anglja postanowiła ostatecznie odmówić udziału w blokadzie Krety.

Ateny 9 sierpnia (rano). W Heraklejon na Krecie, rozegrały się straszliwie sceny. Turcy mordowali okrutnie kobiety, dzieci i starców. Chrześcijanie bronili po bohatersku katedralnego kościoła Obce statki wojenne rozpoczęły wysadzać na ląd wojska, cofnęły je jednak napowrót i pozostały bezczynne.

Wiedeń 9 sierpnia. (Po zamknięciu giełdy). — Kredyty 359.25 Anglobanki 155·—; Länderbank 249·50; Staatsbahny 257·75; Lombardy 102·25; Renta majowa 101·70; Renta koronowa węgierska 99·45; Alpiny 79·40; Tureckie 48·50.

Przyjechali do Krakowa.

Grand hotel. Dr St. Pluciński z Poznańskiego, J. hr. Tarnowski z Król. Pols., ks. A. Aliko z Petersburga, W. Prihoda z Wiednia, A. Szwede z Warszawy, St. A. hr. Stadnicki z Krysowic, E. Strassburger z Bonn.

Hotel Saski. I. Coupez z Brukselli, J. Zeitleben ze Schodnicy, M. Kuschnierski z Wiednia, H. br. Rahden, J. Brońska, dr A. Wolff, W. Grabowski i dr A. Stromfeld z Warszawy, E. Friedenthal z Hamburga, A. Gerstenberg z Berlina, S. Hinzinger z Tarnobrzega.

Hotel Drezdeński. Br. Całkowska, P. Dowgiałło i C. Mieniski z Warszawy, Wł. Jurek i Przeworska, G. W. Swida i Z. Goniewka z Lublina. J. Sinnshäuser z Worms, T. Fokini z Petersburga, dr M. Masson z Granicy.

POCIĄGI KOLEJOWE.

Z Krakowa odchodzą:

W kierunku Wiednia, Warszawy i Berlina: godz. 5 min. 33 rano osobowy; godz. 7 min. 25 rano pospieszny; godz. 9 min. 25 przed południ. osobowy; godz. 2 min. 31 po południu (I i II kl.); godz. 3 min. 20 po połud. osobowy; godz 6 min. 10 wieczór osobowy do Oświęcimia; godz. 10 wieczór pospieszny. — **W kierunku Lwowa:** godz. 6 min. 38 rano pospieszny; godz. 8 min. 50 rano osobowy; godz. 11 min. — przed południ. osobowy; godz. 2 min. 49 po południ. błyskawiczny (I i II kl.); godz. 6 min. 35 wieczór osobowy do Rzeszowa; godz. 9 min. 15 wieczór pospieszny; godz. 10 min. 55 wieczór osobowy. — **Do Wieliczki:** godz. 12 min. 20 w południe i godz. 7 minut 45 wiecz. pociągi mięszane.

Od dnia 25 czerwca do 15 września kursować będą pociągi kąpielowe, które z Podgórza do Krakowa przychodzą o godz. 7 minut 55 wieczorem osobowe, odchodzą o godz. 8 rano osobowe.

Czas środkowo-europejski.

KURSY TELEGRAFICZNE.

Wiedeń 8-go sierpnia — 2 godz. 31 minut po poł.

	zł. ct.		zł. ct.
Renta austr. papier opod.	101 65	Losy tureckie	49 00
Renta austr. srebrna	101 65	Anglobank	154 50
Renta austr. 4% złota	123 45	Union	286 50
4% koronowa	101 20	Bankverein	264 50
4% „ „ złota	122 25	Akcje Länderbank	249 50
4% Renta węg. kor.	99 35	„ „ lwowsko-czerniow.	287 —
Akcje banku au.-w.	975 00	„ „ południ.	102 —
„ kredytowe	359 00	Elbenthal	274 —
Londyn vista	119 65	Nordbahn	3400
Marki	58 67½	Staatsbahn	357 87
Napoleony	9 50½	Alpin	79 00
Włoskie banknoty	44 30	Akcje tytoniowe	157 50
Dukaty	5 64	Ruble	126 75
Losy prem. węg.	152 50		

Usposobienie giełdy spokojne.

Berlin 8-go sierpnia.

Banknoty austr.	170 55	4% Listy likw. pol.	68 00
Krótki Wiedeń	170 25	Renta włoska	87 60
Banknoty ros.	216 45	Akcje austr. kred.	225 30
Listy zast. pols.	216 10	Ultimo ruble	216 25

Usposobienie giełdy słabe.

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje)

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa.

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie